

Karol Dickens

Opowieść wigilijna



Rozdział I

Duch Marleya

Zaczęło się od tego, że Marley umarł. To nie ulegało wątpliwości. Świadcstwo zgonu podpisali: ksiądz, urzędnik, grabarz i właściciel zakładu pogrzebowego. Scrooge, wspólnik Marleya, także je podpisał, a jego nazwisko było cenione, cokolwiek by podpisał. Zwłaszcza na giełdzie.

Stary Marley był martwy jak ćwiek w drzwiach; tak mówi znane angielskie przysłowie.

Czy Scrooge wiedział o śmierci Marleya? Oczywiście. Jakżeby mogło być inaczej? Scrooge i on byli wspólnikami przez wiele lat. Scrooge był też jedynym spadkobiercą, zarządcą, przyjacielem Marleya i jedynym człowiekiem, który szedł za jego trumną. Przy tym Scrooge nie był zbyt dotknięty tym wypadkiem, bo okazał się doskonałym kupcem i w dniu pogrzebu obmyślił korzystny interes.

Scrooge nie kazał zamalować nazwiska starego Marleya na szyldzie swego domu handlowego. Jeszcze po wielu latach na szyldzie nad drzwiami wejściowymi ich firmy można było czytać:

„Scrooge i Marley”. Firma ta bowiem była znana powszechnie. Nowicjusze w sprawach handlowych zwracali się do Scrooge’a – Scrooge albo Marley, on zaś odpowiadał na obydwa nazwiska. Było mu wyraźnie wszystko jedno.

Trzeba też przyznać, że Scrooge miał silną rękę, gdy szło o interes. Chwytała ona, ścisnęła, ze skóry obdzierała swoją ofiarę, nie wypuszczając jej, aż po doszczętnym wyzyskaniu. Był to jednym słowem chciwy i stary grzesznik. Twardy i ostry jak krzemień; zamknięty w sobie, milczący i samotny jak ostryga. Zimno wewnętrzne wyostrzyło jego starcze rysy, wydłużyło nos, zmarszczyło policzki, uczyniło jego chód sztywnym, zaczerwieniło oczy i zabarwiło na niebiesko usta. Gniewnie brzmiał jego ostry głos. Szron pokrywał jego głowę, brwi i chudą brodę. Wnosił ze sobą lodowatą temperaturę; zamrażał nią swe biuro podczas upału i nie podwyższał jej ani o jeden stopień nawet podczas wigilii Bożego Narodzenia.

Zmiany pogody nie miały wpływu na Scrooge’a. Żadne ciepło nie mogło go ogrzać, żaden mróz bardziej oziębic. Niepogoda nie wiedziała, z której strony go zaatakować, największy deszcz, śnieg, grad czy zawierucha miały nad nim wyższość pod jednym tylko względem: one często okazywały się szczodrymi, spadały na świat i ludzi hojnie, dla Scrooge’a zaś takie pojęcia, jak szczodrość lub hojność w ogóle nie istniały.

Nie zdarzyło się, aby ktoś z przyjaznym uśmiechem zatrzymał go na ulicy i powiedział: – Kochany Scrooge, jak się masz? Kiedy mnie odwiedzisz? – Żebracy nie prosili go o jałmużnę, dzieci nie pytały o godzinę, żadna kobieta ani mężczyzna nie pytali Scrooge’a o drogę. Nawet psy ślepców musiały go znać, bo gdy nadchodził – wciągały swych właścicieli do domów lub na

podwórka, a potem machały ogonami jakby chcąc powiedzieć: „Brak oka jest lepszy od złego oka, mój niewidomy panie!”

Co to obchodziło Scrooge'a? On tego właśnie pragnął. Iść samotnie przez życie, odpychać od siebie wszelką ludzką sympatię – to, zdawało się, wybrał Scrooge za cel i tego się trzymał niewzruszenie. Odstępczanie od siebie, przerażanie lodowatym chłodem spotykanych ludzi było dla niego tym, czym jest słodka legumina dla małych łakomczuchów.

Pewnego razu – było to właśnie w wigilię Bożego Narodzenia – stary Scrooge siedział w kantorze i pracował. Dzień był przejmująco mroźny. Ludzie na ulicach chuchali w dłonie, bili rękoma o piersi i tupali dla rozgrzania. Zegary wybiły dopiero trzecią, a już było ciemno.

Przez cały dzień nie widziało się słońca. W oknach sąsiednich biur migotały świece. Mgła wdzierła się do pomieszczeń, a była tak gęsta, że tonęły w niej domy na przeciwnej stronie wąskiej ulicy. Patrząc na niskie mgły, można było sądzić, że natura, rozsiadłszy się gdzieś w pobliżu, odbywała jakieś złowrogie praktyki.

Drzwi biura były otwarte; Scrooge wolał mieć na oku swego pomocnika, który siedział obok w małej izdebce i kopiował listy. Na kominku w pobliżu Scrooge'a tlił się skromny ogień; w izdebce pomocnika ledwie żarzył się jeden węgielek. Zziębnięty pracownik nie mógł podsycać ognia, bo Scrooge trzymał skrzynię z węglem w swoim pokoju. Ile razy pomocnik wszedł z łopatką, pryncypał groził mu, że będą musieli się rozstać. Pomocnik owinał szyję białym szalikiem i usiłował ogrzać się od świcy; a ponieważ nie miał dość bujnej wyobraźni, usiłowania jego były bezskuteczne.

– Wesołych świąt, wuju! Niech cię Bóg ma w swej opiece! – odezwał się sympatyczny głos. Był to siostrzeniec Scrooge'a, który wszedł tak nagle, że Scrooge zauważył jego obecność dopiero wtedy, kiedy ten do niego przemówił.

– Cóż znowu za głupstwa?! – mruknął Scrooge.

Siostrzeniec Scrooge'a rozgrzał się szybkim chodem i cały był rozpromieniony; piękna twarz jaśniała, oczy błyszczały.

– Święta nazywasz głupstwem, wuju? – zawołał – Jestem pewny, że nie myślisz tak!

– Przeciwnie, tak właśnie myślę – odrzekł Scrooge. – I mam rację. Wesołych świąt! Jaki ty masz powód, żeby być wesołym? Ty, biedaku?

– Doskonale! – roześmiał się siostrzeniec. – A jaki ty masz powód, żeby być ponurym, wuju? Ty, bogacz?

Scrooge, nie mając pod ręką odpowiedzi, powtórzył znowu:

– Głupstwo!

– Nie bądź taki kwaśny, wuju! – rzekł siostrzeniec.

– Czy mogę być inny – gderał wuj – kiedy zmuszony jestem żyć w świecie głupców? Wesołych świąt!... Do licha z wesołymi świątami! Znać ich nie chcę! Czymże są święta Bożego Narodzenia dla ciebie, jeśli nie terminem płacenia rachunków, a zwykle wtedy jesteś bez grosza. Z każdym Bożym Narodzeniem

jesteś o rok starszy, ale nie bogatszy. W ten dzień po sprawdzeniu ksiąg handlowych przekonujesz się, że po dwunastu miesiącach galerniczej pracy nie masz odrobiny zysku... Gdybym był pracodawcą, to każdy idiota, włączający się z życzeniem „wesołych świąt”, zostałby ugotowany w jego świątecznej potrawie i pogrzebany z gałązką choinki zatkniętą w serce. To byłoby rozsądne i słuszne!

– Wuju! – łagodnie mitygował go siostrzeniec.

– Siostrzeńcze! – przerwał wuj surowo – święć dzień Bożego Narodzenia na swój sposób, a mnie pozwól obchodzić go po mojemu.

– Obchodzić! – powtórzył siostrzeniec. – Ależ ty go wcale nie obchodzisz, wuju.

– Dajże mi już pokój, do licha! – sarknął Scrooge. – Zobaczymy, co ci dobrego przyniosą tegoroczne święta. One ci zawsze dużo dobrego przynoszą!

– Przyznaję, że wiele było sytuacji, z których mogłem wyciągnąć korzyści, a jednak nie wykorzystałem ich – odparł siostrzeniec. – Między innymi, święta Bożego Narodzenia! Mimo to zawsze myślę o nich nie tylko jak o czcigodnej pamiątce dla całego chrześcijańskiego świata, ale także jak o chwilach bardzo upragnionych. Są to bowiem chwile dobre, pokrzepiające, radosne. Zawsze oczekuję ich z serdecznym pragnieniem i obchodzę z radością. Są to w długim kalendarzu rocznym jedyne dni, w których wszyscy, kobiety i mężczyźni, jakby na podstawie wspólnej ugody, otwierają swe często zaryglowane serca i myślą o biedniejszych bliźnich. I dlatego, wuju, choć święta te nigdy nie wzbogaciły mnie ani o ziarnko srebra czy złota, wierzę, że przyniosły mi niejedno dobro i jeszcze przyniosą mi wiele radości. Dlatego też chwalebę je.

Pomocnik Scrooge’a, ślęczący nad robotą w sąsiedniej izdebce, gorąco przyklasnął tym słowom, spostrzegłszy jednak niewłaściwość swego entuzjazmu, zaczął dręt看ymi z zimna palcami poprawiać ogień na swym kominku. W efekcie zgasił ostatnią iskierkę.

– A to co znów za moda odrywania się od pracy i wtrącania się tam, gdzie nie potrzeba? – zgromił go ostro Scrooge. – Odezwij się pan choć słówkiem jeszcze, a upamiętnię ci dzień Bożego Narodzenia dymisją... Jesteś nie lada mówcą – dodał, zwracając się do siostrzeńca. – Dziwi mnie, dlaczego dotychczas nie zasiadasz w parlamencie.

– Nie gniewaj się, wuju! Przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge odpowiedział z ironią, że z pewnością przyjdzie i że zaraz zaczyna się szykować. Nie ma nic lepszego do roboty. Siostrzeniec zrozumiał, że była to stanowcza odmowa. Zapytał więc łagodnie:

– Dlaczego odmawiasz, wuju?

– A dlaczego ożeniłeś się?

– Ponieważ pokochałem!

– Ponieważ po-ko-cha-łeś! – powtórzył Scrooge, przedrzeźniając go w ten sposób, jak gdyby miłość i małżeństwo były największym na świecie głupstwem

po Bożym Narodzeniu. – Bywajże mi zdrów, drogi siostrzeńcze!

– Lecz ty, wuju, nigdy nie odwiedziłeś mnie także przed ożenkiem. Dlaczegoż więc podajesz to obecnie za powód odmowy?

– Bądź zdrów! – powtórzył Scrooge.

– Niczego od ciebie nie potrzebuję i o nic cię nie proszę, dlaczegoż więc nie możemy być przyjaciółmi?

– Bądź zdrów! – mruknął Scrooge.

– Przykro mi bardzo, żeś taki twardy. Nigdy nie mieliśmy żadnego konfliktu, do którego ja dałbym powód. Trudno! Uczyniłem propozycję ze względu na Boże Narodzenie, a chociaż mi się nie udało, zachowam pogodny i radosny nastrój. Zatem wesołych świąt, wuju!

– Bądź zdrów! – znów powtórzył Scrooge.

– I pomyślności z Nowym Rokiem!

– Bądźże zdrów i odczep się ode mnie! – zamruczał groźnie Scrooge. Siostrzeniec opuścił wuja. Przy drzwiach zatrzymał się, aby złożyć życzenia pomocnikowi, który – choć przemarznięty do kości – okazał się cieplejszy od pryncypała, odpowiadając na życzenia uprzejmie i serdecznie.

– Macie drugiego idiotę! – mruczał Scrooge, słysząc wymianę życzeń. – Mój pomocnik, obarczony rodziną i zarabiający piętnaście szylingów tygodniowo na jej utrzymanie, mówi o „wesołych świątach”! Komuś tu chyba potrzebny szpital wariatów!

Pomocnik, odprowadziwszy do drzwi siostrzeńca Scrooge’a, wpuścił jakichś dwóch jegomościów. Byli to poważni obywatele, o przyjemnej powierzchowności; zdjawszy kapelusze, stanęli przy biurku Scrooge’a. Trzymając w rękach portfele i papiery, skłonili się uprzejmie.

– Firma Scrooge i Marley, jeżeli się nie mylę? – zapytał jeden z nich, zaglądając do swej listy.

– Czy mam przyjemność mówić z panem Scrooge, czy z panem Marleyem?

– Pan Marley umarł już siedem lat temu – odparł Scrooge.

– Nie wątpimy, że jego następcą jest równie jak on hojny i szczodroblivy – powiedział gość, przedstawiając swoje pełnomocnictwo do zbierania ofiar dla biednych.

Zaiste, Scrooge i Marley były to „dwie bliźniacze dusze”. Słyszając niemiły wyraz „szczodroblivość”, Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i zwrócił dokumenty.

– Z okazji tak wielkiej uroczystości, panie Scrooge – mówił ów jegomość, nie zważając na to i ujmując pióro – ludzie zamożniejsi nie uchylają się od wsparcia nędzarzy i wydziedziczonych, którzy teraz właśnie, podczas silnych mrozów, narażeni są na wielkie cierpienia. Jest zresztą zwykłym obowiązkiem zamożnych, aby przychodzić z pomocą bliźnim pozbawionym jakichkolwiek środków do życia...

– Alboż to nie ma więzień? – przerwał mu Scrooge.

– Niestety, mamy ich bardzo wiele! – odparł jegomość, odkładając na bok

pióro.

– A przytułki, domy pracy i domy poprawcze, czy te instytucje przestały istnieć? – zapytał znów Scrooge.

– I one, oczywiście, istnieją, chociaż należy pragnąć, żeby się stały niepotrzebne.

– A zatem wszystkie te instytucje istnieją i są czynne? – badał gościa w dalszym ciągu Scrooge.

– Są czynne bez przerwy – brzmiała odpowiedź.

– Chwała Bogu! Pańskie żądanie i to, co pan na wstępie powiedział, wzbudziło we mnie obawę, że coś wstrzymało ich użyteczną działalność. Bardzo mnie cieszy, że tak nie jest.

– Ponieważ powszechnie wiadomo, że wspomniane instytucje, pomimo usilnych zabiegów, nie są w stanie po chrześcijańsku zaspokoić ani duchowych, ani cielesnych potrzeb wszystkich biedaków, przychodzimy im z pomocą, zbierając ofiary na dostarczenie chociaż najbiedniejszym jadła, napojów i środków do ogrzania zlodowaciałych mieszkań. Wybieramy ten czas, ponieważ w tak wielkie święta bieda najwięcej daje się we znaki; zamożni zaś najwięcej się radują i używają sobie. Na jaką sumę mam pana zapisać?

– Proszę mnie wcale nie zapisywać – odpowiedział Scrooge.

– Rozumiem. Życzy pan sobie pozostać ofiarodawcą bezimiennym?

– Życzę sobie, aby mnie zostawiono w spokoju – rzekł Scrooge. – Skoro mnie panowie pytacie o moje zapatrywania, oto jest odpowiedź: nie cieszę się ani też nie używam sobie podczas świąt Bożego Narodzenia i nie stać mnie na to, abym przyczyniał się do wesołości i używania próżniaków. Wspieram instytucje, o których wspomniałem; niech tam więc udadzą się ci, którym nie jest dobrze we własnych domach.

– Wielu nie może się tam dostać, a wielu wolałoby raczej umrzeć, niż tam się znaleźć –

zauważył jegomość.

– Skoro wielu wolałoby raczej umrzeć – odparł Scrooge – niechże to uczynią i w ten sposób zmniejszą nadmiar ludności. Zresztą, proszę wybaczyć, ja się na tych sprawach nie znam i w ogóle mało mnie one obchodzą.

– Może się pan z nimi łatwo zapoznać, trzeba tylko trochę serca i dobrej woli.

– Ani myślę, to nie mój interes. Wystarczy, jeżeli człowiek zna i rozumie własny interes i nie miesza się do cudzego. Mój pochłania mnie całkowicie. Zatem mam honor pożegnać szanownych panów.

Mężczyźni, widząc że nic nie wskórają, wruszyli ramionami i wyszli. Scrooge zaś zabrał się do pracy, w znacznie lepszym niż zazwyczaj nastroju.

Tymczasem mgła i ciemność jeszcze bardziej zgęstniały; na ulicach ludzie biegli z zapalonymi latarniami przed ciągnącymi powozy koźmi, aby szły po właściwej drodze. Zabytkowa wieża kościoła, z której gotyckiego okna ciekawie spoglądał na Scrooge'a stary, uszkodzony dzwon, zniknęła. Dzwon wybijał

teraz godziny oraz kwadransy wśród mgły z tak silnymi drganiem, jak gdyby mu zęby szczękały z zimna.

Mróz bowiem z każdą chwilą się wzmacniał.

Na rogu głównej ulicy robotnicy, naprawiający rury gazowe, rozpalili wielkie ognisko, wokół którego zebrała się gromadka obdartych mężczyzn i dzieci; grzali oni swe skostniałe ręce i mrużyli oczy, rozkoszując się przyjemnym ciepłem. Ponieważ kranu wodociągowego nie zamknięto, przeto wypływająca z niego woda krzepła, tworząc ponure kręgi lodu. Wystawy sklepów zdobiły gałązki jodły. LAMPY oświecały blade twarze przechodniów. Składy drobiu i żywności urządziły tak wspaniałe wystawy, że zdawało się, iż przyziemna myśl kupna, sprzedaży i targu nie ma z nimi nic wspólnego.

Lord Major, burmistrz Londynu, w swoim pałacu wydawał rozkazy pięćdziesięciu kucharzom i piwniczym, aby odpowiednio przystroili stół świąteczny, jak na dom takiego dygnitarza przystało. Nawet skromny krawiec, którego przed tygodniem skazano na pięć szylingów kary za pijaństwo i awanturę na ulicy, dał żonie kilka szylingów: wyszła ona z wychudłym dzieckiem po sprawunki do miasta.

Mgła i mrok zwiększały się. Zimno przejmowało do szpiku kości.

Pewien młody właściciel chudego nosa pochylił się przy dziurce od klucza do drzwi wejściowych kantoru Scrooge'a, aby przedstawiciela firmy uraczyć świąteczną pieśnią; lecz zaledwie zdążył wyśpiewać pierwsze wyrazy:

„Niech Ci nic nie zamąci radości...”, gdy Scrooge pochwycił linię tak groźnym ruchem, że biedak przerażony uciekł. Wreszcie nadeszła godzina zamknięcia kantoru.

Scrooge z niechęcią opuścił swój stołek i w milczeniu dał znak pomocnikowi, który natychmiast zgasił świecę i włożył kapelusz na głowę.

– Sądzę, że pan życzy sobie być wolny przez cały dzień jutrzejszy? – zapytał Scrooge.

– Jeśli pan uważa za właściwe... – szepnął nieśmiało pomocnik.

– Ja nie uważam tego za właściwe. Jestem też pewny, że gdybym potrafił panu z pensji należność za ten dzień, poczułby się pan pokrzywdzony?

Pomocnik uśmiechnął się łagodnie.

– A jednak – ciągnął Scrooge – pan nawet nie pomyśli o tym, że to ja mogę się poczuć pokrzywdzony, płacąc panu wynagrodzenie za dzień świąteczny.

Pomocnik zauważył lękliwie, że święto Bożego Narodzenia przypada raz do roku.

– Liche to usprawiedliwienie okradania kieszeni swego pracodawcy – rzekł Scrooge, zapinając palto aż pod brodę. – Mniejsza z tym. Ważniejsze jest to, żeby pan, zmarnowawszy na próżniactwie cały jutrzejszy dzień, przyszedł do pracy wcześniej dnia następnego.

Pomocnik przyrzekł zastosować się do żądania, po czym Scrooge wyszedł, wciąż mrucząc gderliwie.

Kantor został zamknięty w mgnieniu oka i pomocnik, otuliwszy szyję białym, długim szalikiem (biedak nie miał palta...), wesoło wybiegł na ulicę. Chcąc uczcić wieczór wigilijny, przejechał się ze dwadzieścia razy po lodzie na Cornhill, następnie szybko popędził do domu przy Camden Town, aby się jeszcze zabawić z dziećmi w „ciuciubabkę”.

Scrooge spożył skromny obiad w lichej garkuchni, do której codziennie uczęszczał, przeczytał znajdujące się tam dzienniki, po czym udał się do domu.

Zajmował lokal, w którym ongiś mieszkał jego zmarły wspólnik. Składał się on z szeregu ponurych i pustych pokojów; mieścił się w starym, ciemnym budynku, wznoszącym się przy końcu głuchego zaułka. Wielki dom nie harmonizował z wąską i krótką uliczką. Robił wrażenie, jakby znalazł się tu przypadkowo, bawiąc się w czasie swej młodości z innymi domami w „chowanego”, a zapomniawszy drogi powrotnej – pozostał tu na zawsze.

Dziś był stary i ponury. Oprócz Scrooge’a nikt w nim nie mieszkał. Reszta lokali była wynajęta na biura i kantory. Działanie domu było tak ciemne, że nawet Scrooge, który znał każdy kamień, przechodził go po omacku. Mgła i szron osnuły czarną bramę tak szczelnie, iż zdawało się, że to duch smutku usiadł na jej progu.

Przy furtce tej bramy wisiała wielka kołatka. Scrooge widywał ją każdego dnia rano i wieczorem, podczas swego długoletniego zamieszkiwania w tym domu. Pewne jest, iż posiadał tak mało fantazji, jak może żaden człowiek w Londynie, nie wyłączając nawet członków Parlamentu i Rady Miejskiej. Można też śmiało powiedzieć, że Scrooge nie pomyślał o Marleyu ani przez chwilę do czasu, kiedy wspomniał o jego śmierci tegoż popołudnia. Jak to się więc stało, że Scrooge, wsunąwszy klucz w zamek drzwi, zamiast kołatki zobaczył twarz Marleya...

Tak, to była twarz zmarłego Marleya.

Otaczała ją słabe światło, które zdawało się z niej promieniować. Nie miała ona ani groźnego, ani przerażającego wyrazu, spoglądała na Scrooge’a tak, jak zwykle spoglądał Marley na niego za życia: podniósłszy okulary na czoło. Włosy jego były dziwnie zmierzwiłone, jakby gwałtownym wichrem lub silnym strumieniem pary, a oczy, choć szeroko otwarte, były martwe, co, w połączeniu z szarą barwą skóry, czyniło tę twarz odrażającą. Zdawało się jednak, że przerażenie, jakie budził jej widok, pochodziło nie z samej twarzy, lecz wywoływał je jakiś inny, niezwykle powód.

Gdy Scrooge zaczął się uważniej przypatrywać, zjawia zniknęła i pozostała tylko znana mu dobrze kołatka.

Mijałoby się z prawdą sądząc, że Scrooge nie był tym zjawiskiem wstrząśnięty i że nie doznał uczucia przerażenia, obcego mu od dzieciństwa. Lecz rychło się opanował, ujął za klucz, który przed chwilą puścił, obrócił go śmiało, wszedł do sieni i zapalił świecę.

Zatrzymał się chwilę w niepewności, zanim zamknął drzwi, i najpierw obejrzał się uważnie poza siebie, jak gdyby obawiał się ujrzeć tył głowy

Marleya. Lecz na tylnej stronie drzwi nie było nic, prócz śrub i gwoździ, utrzymujących kołatkę; mruknął więc coś niezrozumiale i zatrzasnął drzwi.

Nagle rozległ się w domu trzask podobny do grzmotu. Każdy pokój na piętrze i każda beczka w piwnicy zdawały się odpowiadać mu echem. Scrooge nie był człowiekiem, którego podobne głosy mogły zatrwożyć. Zaryglował więc drzwi i przeszedł spokojnie przez sień; idąc na górę po schodach, posuwał się bardzo wolno oświetlając drogę świecą.

Może ktoś wyobraża sobie, że były to wspaniałe schody z dawnych czasów, gdzie łatwo by się zmieściła karetą, zaprzężona w szóstkę koni. Otóż schody, prowadzące do mieszkania Scrooge'a były jeszcze szersze. Zmieściłby się na nich nawet karawan i jeszcze zostałyby sporo miejsca.

Pół tuzina ulicznych lamp gazowych nie oświetliłoby dostatecznie tych schodów, można więc przypuszczać, że przy jednej mdłej świeczce, którą Scrooge sobie przyświecał, było dosyć ciemno i ponuro.

Szedł jednak na górę, nic sobie z tego nie robiąc. Ciemność jest tania, a to było słabą stroną Scrooge'a. Znalazłszy się w mieszkaniu, przeszedł się po pokojach dla stwierdzenia, czy wszystko jest w porządku. Być może tajemnicze przeistoczenie się kołatki skłoniło go do ostrożności.

Bawialnię, jadalnię, sypialnię, schowek – znalazł w zupełnym porządku. Nikogo pod stołem, nikogo pod sofą; mały ogień na kominku, na stole talerz i łyżka, mały rondel z kleikiem (Scrooge dostał z przeziębienia kataru) na maszynie kuchennej. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w komórce, nikogo w szlafroku, wiszącym na ścianie. W schowku też nic osobliwego: stare obuwie, dwa kosze na ryby, dwie zdarte szczotki, umywalnia na trzech nogach i pogrzebacz.

Scrooge, uspokojony, zamknął drzwi na dwa spusty, co nie było jego zwyczajem i tak ubezpieczywszy się od możliwych niespodzianek, zdjął chustkę z szyi, włożył szlafrok, pantofle i czepek, po czym usiadł przed kominkiem, zabierając się do spożycia kleiku.

Szczerze mówiąc, ogień na kominku był marny, zgoła niewystarczający na tak mroźną pogodę. Scrooge musiał przysunąć się blisko i długo czekać, zanim uczuł nieco ciepła ze skromnej garstki paliwa.

Kominek był stary, zbudowany dawno temu przez jakiegoś holenderskiego kupca i wyłożony dziwnymi flamandzkimi kaflami, przedstawiającymi różne sceny z Pisma Świętego. Był tam Kain i Abel, córki faraona, królowa Saba, anielscy posłańcy, zstępujący z nieba po schodach z obłoków. Był też Abraham, Baltazar i apostołowie, wybierający się na morze w łodziach o kształcie sosjerek; wreszcie setki innych postaci, mogących zająć uwagę Scrooge'a. A jednak to twarz Marleya zjawiała się przed jego oczyma, zasłaniając sobą wszystko. Gdyby wszystkie kafle kominka były czyste i gdyby posiadały właściwość pokrywania się obrazami bezładnych myśli Scrooge'a, wówczas na każdym z nich zjawiałaby się podobizna zmarłego współnika.

– Głupstwo! – mruknął Scrooge i, machnąwszy ręką, zaczął się

przechadzać po pokoju. Po pewnym czasie znowu usiadł.

Oparłszy głowę o poręcz krzesła, spojrzął przypadkiem na dzwonek, łączący pokój, w którym Scrooge teraz siedział, z pokojem na najwyższym piętrze domu, od dawna opuszczonym. Spojrzawszy osłupiał, spostrzegł bowiem, że dzwonek zaczyna się poruszać. Z początku poruszał się tak wolno, że ledwie go było słychać; wkrótce jednak zabrzmiał głośno, a jakby na hasło odpowiedziały mu wszystkie dzwonki w całym domu.

Trwało to wszystko może pół minuty, ale ta krótka chwila wydała się Scrooge'owi nieskończenie długa. Naraz dzwonki ucichły jednocześnie. Potem, wśród grobowej ciszy, gdzieś w piwnicy odezwało się przytłumione brzęczenie i łoskot, jak gdyby ktoś włókł ciężkie łańcuchy po beczkach z winem. Wtedy Scrooge przypomniał sobie, że duchy zwykle zjawiają się wlokąc za sobą łańcuchy.

Nagle drzwi piwnicy otworzyły się z głośnym hukiem i Scrooge usłyszał głośniejsze brzęczenie; wyszło ono z piwnicy, powoli wstępowało po schodach, a wreszcie zatrzymało się przy drzwiach jego pokoju.

– Ależ to głupstwo! – mruczał Scrooge. – Nie wierzę, żeby to była rzeczywistość.

W tej chwili pobił z przerażenia, gdyż to coś brzęczącego, nie otwierając drzwi, weszło do pokoju i posuwało się z wolna ku niemu. Zamierający płomień na kominku wyciągnął się, zajaśniał, jakby mówiąc:

– Poznaję go, to duch Marleya! Po czym znów wygasł.

Tak, to był on. Ta sama twarz. Ubrany był tak, jak się zwykle ubierał Marley. Ta sama kamizelka, te same spodnie, buty i surdut; chwasty przy butach dziwnie były najeżone, jak również warkocz peruki i włosy na głowie.

Widmo wlokło za sobą długi łańcuch, który obejmował je w pasie i obwijał jeszcze kilkakrotnie; był on utworzony (Scrooge dobrze mu się przypatrzył) z kas metalowych, kluczy i zamków, ksiąg kupieckich oraz mocnych, stalowych sakiewek. Cała postać widma była tak przezroczyta, że Scrooge widział przez nią dwa guziki na tyle surduta.

Scrooge często słyszał, jak mówiono, że Marley nie miał serca ani żadnych wnętrzności, ale nigdy w to nie wierzył.

I teraz jeszcze nie wierzył, chociaż widział zjawę tuż przed sobą i czuł lodowaty chłód jej martwych oczu. Dziwnie zainteresował go gatunek płótna chustki, którą obwiązana była jak bandażem twarz widma, czego Marley za życia nie robił. Wciąż jeszcze nie wierzył w to, co widział i usiłował przeczyć swoim zmysłom.

– Co to znaczy? – zapytał wreszcie swoim zwykłym, mrukliwym tonem. – Czego chcesz ode mnie?

– Wiele! Bardzo wiele! – odparło widmo.

Głos był Marleya; nie można było w to wątpić.

– Kim jesteś?

– Zapytaj raczej: kim byłem – zabrzmiała głucha, przytłumiona

odpowieź.

– Kimże więc byłeś? – zapytał Scrooge, podnosząc głos. – Jak na ducha, jesteś bardzo drobiazgowy.

– Za życia byłem twoim współnikiem, Jakubem Marleyem.

– Czy możesz... czy chcesz usiąść? – zapytał Scrooge, nie wierząc własnym uszom.

– Mogę.

– Uczyń to więc.

Scrooge zapytał o to, gdyż nie był pewny, czy istota tak przejrzysta może usiąść na krześle. Lecz duch usiadł po przeciwnej stronie kominka tak spokojnie i z taką swobodą, jak gdyby to było dla niego rzeczą najzwyczajszą.

– Widocznie nie wierzysz we mnie? – zagadnął duch po chwili.

– Nie wierzę – odpowiedział Scrooge.

– Jakiego pragniesz dowodu mego istnienia, oprócz twoich własnych zmysłów?

– Nie wiem.

– Dlaczego nie ufasz swoim zmysłom?

– Ponieważ często błądostka wyprowadza je z równowagi. Lekka niedyspozycja żołądka zmienia je. Pomimo wszystko, wydajesz mi się raczej istotą cielesną a nie duchem.

Scrooge nigdy nie miał skłonności do żartów, a w tej chwili bardziej jeszcze niż kiedykolwiek był daleki od tego. Jeżeli usiłował być dowcipny, to dlatego, by zmienić kierunek swych myśli i opanować coraz silniej przejmujący go strach.

Scrooge czuł, że tak siedzieć i patrzeć w martwe oczy widma nie może, doznawał bowiem piekielnych udręk. Istotnie, coś piekielnego było w atmosferze otaczającej widmo. Chociaż duch siedział całkiem nieruchomo, jego włosy, poły surduta i chwasty przy butach wciąż się poruszały, jakby pod wpływem gorącego powietrza wydobywającego się z rozpalonego pieca.

– Widzisz tę wykałaczkę? – zapytał Scrooge, usiłując otrząsnąć się z ogarniającego go coraz silniej przerażenia oraz odwrócić od siebie, choćby na chwilę, lodowaty wzrok widma.

– Widzę – odparł duch.

– Ale nie patrzysz na nią – podchwycił Scrooge.

– Mimo to widzę ją – rzekł duch.

– Och! – roześmiał się z przymusem Scrooge – wystarczy mi połknąć ją, abym przez resztę mych dni, do końca życia, był prześladowany przez legion złych duchów mojej własnej fabrykacji... Głupstwo, powtarzam! Wierutne, kapitalne głupstwo!

Zaledwie Scrooge wymówił te słowa, duch zajęczał i zatrząsł łańcuchami w tak ponury i przerażający sposób, że Scrooge przycisnął się do krzesła, aby nie upaść na ziemię ze strachu. Przerażenie jego doszło do najwyższego stopnia, gdy widmo zdjęło bandaż z głowy, jakby mu było za ciepło w pokoju,

a jego dolna szczęka opadła aż na piersi.

Scrooge upadł na kolana i zasłonił twarz dłońmi.

– Litości – zawołał. – Straszna zjawo, dlaczego mnie dręczysz?!

– Człowieku o nędznym duchu, zaprzątniętym jedynie marnymi sprawami ziemskimi, wierzysz we mnie, czy nie?

– Wierzę! – westchnął Scrooge. – Muszę wierzyć. Powiedz mi jednak, dlaczego duchy włóczą się po świecie? Dlaczego przychodzisz mnie męczyć?

– Obowiązkiem każdego człowieka jest – odparło widmo – aby jego dusza zjednoczyła się z duszą jego bliźnich i pozostawała w braterskiej z nimi łączności przez cały czas wędrówki ziemskiej. Ten, który obowiązkowi tego zaniedbał za życia, musi go wypełnić po śmierci. Duch jego po śmierci musi wędrować po świecie – och, biada mi! – i patrzeć biernie na to wszystko, czego nie może już używać, a co mógł czynić za życia ku swej radości i szczęściu!

To rzekłszy, widmo znów wydało jęk i wstrząsnęło łańcuchami.

– Jesteś, jak widzę, w okowach – rzekł Scrooge z drżeniem. – Powiedz mi, dlaczego?

– Noszę łańcuch, który sobie ukułem za życia – odparł duch. – Sam przygotowałem każde jego ogniwo. Włożyłem go na siebie dobrowolnie, dobrowolnie nosiłem, a teraz dźwigać go muszę przez wieczność. Czy nie znasz materiału, z którego jest utworzony?

Scrooge drżał coraz bardziej.

– A może chciałbyś poznać – ciągnął dalej duch – wagę i długość łańcucha, który sam dźwigasz? Co? Siedem lat temu był tak ciężki i tak długi jak mój. Od tego czasu jednak pracowałeś usilnie, ażeby go doprowadzić do kolosalnych rozmiarów. O tak, twój łańcuch jest potężny!

Scrooge obejrzał się skwapliwie, obawiając się, czy nie ujrzy dookoła siebie żelaznego powrozu; lecz jakoś niczego nie dostrzegł.

– Jakubie Marley – odezwał się błagalnie – mój dobry przyjacielu, powiedz mi wszystko, co wiesz! Pociesz mnie, Jakubie, choć słówkiem!

– Nie mogę – odrzekł duch. – Pociecha przychodzi z innych sfer, Ebenezerze Scrooge, i bywa przysyłana przez innych posłańców. Nie mogę ci też powiedzieć wszystkiego, bo wolno mi wyjawić niewiele. Przy tym nie rozporządzam czasem. Nie mogę nigdy odpocząć ani pozostawać w jednym miejscu, nie mogę też zatrzymać się nigdzie. Dusza moja za życia nigdy nie wyszła poza ściany naszego kantoru, nie wyjrzała poza ciasny krąg naszych marnych interesów. Wiesz o tym dobrze. Dlatego po śmierci zostałem skazany na nieskończoną, dręczącą wędrówkę...

Scrooge, wpadając w zamyślenie, miał zwyczaj trzymać ręce w kieszeniach spodni. Teraz, rozmyślając nad słowami ducha, uczynił to samo, nie odważając się jednak podnieść oczu i wstać z klęczek.

– Musiałeś się teraz bardzo spóźnić, Jakubie – zauważył tonem zatroskanego ważnym szczegółem finansisty.

– To prawda! – potwierdził duch;

– Nieżywy od siedmiu lat – szepnął Scrooge – i przez cały ten czas w podróży!

– Przez cały ten czas – znów potakiwał duch. – Bez wytchnienia, bez odpoczynku, z ustawicznymi wyrzutami sumienia; niewypowiedziane straszne tortury!

– Jak prędko podróżujesz? – badał Scrooge.

– Na skrzydłach wiatru.

– Musiałeś zatem przebyć olbrzymią przestrzeń – rzekł Scrooge. Usłyszawszy to, duch jęknął po raz trzeci i zabrzączał łańcuchem w głuchoj ciszy nocy.

– O! ja nieszczęsny, podwójnie ujarzmiony niewolnik! – wyrzekął. – Nie wiedziałem, iż wieki nieustannej pracy, dokonywanej przez nieśmiertelne istoty dla tej ziemi, muszą złać się z wiecznością, nim zamierzone dobro zostanie osiągnięte... Nie wiedziałem, że każdy człowiek powinien ofiarować część swej pracy dla wielkiego dzieła ludzkości, współdziałać w doskonaleniu go. Nie wiedziałem, że żaden żal, nawet najgłębszy, nie może być zadośćuczynieniem za źle spędzone życie, nie może okupić jednego nawet ominięcia sposobności spełnienia dobrego uczynku! A ja właśnie tym grzeszyłem! Ja właśnie byłem taki za życia!

– Przecież ty, Jakubie, byłeś zawsze uczciwym i dobrym pracownikiem... – bąknął Scrooge, myśląc też o sobie – zawsze sumiennie pilnowałeś interesu...

– Interes! – przerwał duch, załamując ręce. – To właśnie było moim błędem, i grzechem! Ludzkość powinna być moim interesem; dobroczynność, litość, wyrozumiałość i łagodność powinny być dla mnie najważniejsze. Sprawy osobiste, handel, wszelkiego rodzaju spekulacje – to wszystko należało uważać za rzecz drugorzędną, za znikomą kroplę w oceanie obowiązków dla dobra ludzkości.

Przy tych słowach, jak gdyby chcąc dosadniej wyrazić bezowocność swej spóźnionej skruchy, podniósł wysoko rękę z łańcuchem i z zamachem opuścił ją po chwili.

– W tej porze roku – podjął znowu – cierpię najbardziej. Za życia szedłem przez tłumy swych bliźnich z oczyma zwróconymi w dół, zajęty własnymi marnymi sprawami, nie podnosząc wzroku ku niebiosom, gdzie błyszczy gwiazda betlejemska. Czy nie było dosyć ubogich domostw, do których byłaby mnie zawiodła?!

Scrooge był przerażony, słysząc przemawiającego w ten sposób Marleya.

– Słuchaj mnie – zawołał duch. – Czas mój prawie już upłynął.

– Owszem, słucham cię z uwagą – rzekł Scrooge. – Ale, Jakubie, nie bądź za srogi dla mnie! Nie bądź też, Jakubie, tak kwiecisty, powiedz krótko i węzłowato, o co ci chodzi?

– W jaki sposób staję przed tobą w tej postaci nie wolno mi powiedzieć. Często zbliżałem się do ciebie niewidzialny, bardzo często...

Ta niemiła wiadomość sprowadziła na czoło Scrooge'a kroplisty pot. –

Zapewniam cię, że nie jest to lekka część mej kary – ciągnął duch. – Przeszedłem, aby cię ostrzec i zawiadomić, że możesz jeszcze uniknąć mego losu. Sposobność ku temu ja ci nastręczę, Ebenezerze.

– Zawsze byłeś moim dobrym przyjacielem – rzekł Scrooge. – Dziękuję ci, Jakubie!

– Odwiedzą cię – mówił dalej Marley – trzy duchy.

Twarz Scrooge'a z przerażenia stała się równie blada jak bezcielesne oblicze widma.

– Czy to ma być ta nadzieja, o której wspomniałeś, Jakubie? – zapytał drżącym głosem.

– Tak.

– W takim razie, drogi Jakubie, może lepiej dać temu pokój – rzekł wystraszony Scrooge.

– Bez tych odwiedzin – kończył duch – nie możesz uniknąć mego – nieszczęsnego losu. Bądź gotów na przyjęcie pierwszych odwiedzin jutro, gdy zegar uderzy pierwszą po północy.

– Czy ci goście nie mogliby przyjść wszyscy razem, abym z nimi mógł prędzej sprawę załatwić? – szepnął Scrooge.

– Drugi zjawi się następnej nocy, o tej samej godzinie. Trzeci znów następnej nocy, gdy zegar wybije dwunastą. Nie spodziewaj się zobaczyć mnie. Radzę ci, zapamiętaj to wszystko, co dzisiaj ode mnie usłyszałeś.

Wypowiedziawszy te słowa, widmo wzięło swoją chustkę ze stołu i obwiązało nią twarz. Scrooge domyślił się tego po kłapnięciu, jakie wydały zęby. Gdy ośmielił się znowu podnieść oczy, ujrzał gościa zza grobu stojącego z nawiniętym na rękach łańcuchem.

Po chwili widmo zaczęło się cofać; za każdym j ego krokiem okno powoli otwierało się, a gdy duch znalazł się tuż przy nim – było już szeroko otwarte.

Wtedy duch dał znak Scrooge'owi, aby się zbliżył, co też uczynił. Kiedy się znaleźli o dwa kroki od siebie, duch Marleya podniósł rękę, nie pozwalając Scrooge'owi zbliżyć się więcej. Scrooge zatrzymał się.

Uczynił to nie tyle z uległości, ile ze strachu, ponieważ w chwili gdy duch podniósł rękę, usłyszał jakieś nieokreślone głosy w powietrzu: jakby jęki rozpacz, skargi niewypowiedziane bolesne, lamentsy żalu i skruchy... Duch słuchał przez chwilę, po czym przyłączył się do żałobnego chóru i, wypłynąwszy przez okno, znikł wśród ciemności.

Scrooge, zaciekawiony i przerażony, wyjrzał przez okno.

Powietrze było wypełnione milionami widm, błędzącymi we wszystkich kierunkach z gorączkowym pośpiechem i żałośnie jęczącymi. Wszystkie dźwigały takie same łańcuchy jak duch Marleya; niektóre były skute po kilka razem; ani jedno nie było bez okowów. Wielu Scrooge dobrze znał za ich życia. Teraz zaś wiedział już, że wszystkie te widma cierpiały straszną karę dlatego, ponieważ za życia uchylały się od obowiązku pracy dla dobra ludzkości. Teraz, po śmierci, mimo najgorętszych pragnień, nie mogły naprawić złego.

Czy w końcu istoty te rozplynęły się w mgle, czy też mgła je zasłoniła? – Scrooge nie wiedział. Znikły, ich głosy przestały rozbrzmiewać, a noc stała się taka sama jak wtedy, gdy wracał do domu.

Scrooge zamknął okno i starannie zbadał drzwi, przez które wszedł duch Marleya. Były zamknięte na dwa spusty. Chciał już powiedzieć zwykłe swoje: „Głupstwo!” – ale zatrzymał się przy pierwszej sylabie. Naraz poczuł się bardzo znużony. Może był to skutek doznanych wrażeń, może całodziennej pracy, może wreszcie wizji spoza grobu i męczącej rozmowy z duchem; dość, że rzucił się na łóżko w ubraniu i natychmiast zasnął.

Rozdział 2

Wizyta pierwszego ducha

Kiedy Scrooge obudził się, było tak ciemno, że ledwie mógł odróżnić przejrzyste okno od ciemnych ścian pokoju.

W chwili gdy usiłował przeniknąć ciemność – zegar z wieży sąsiedniego kościoła wybił cztery kwadransy. Słuchał pilnie, która wybije godzina?

Ku jego wielkiemu zdziwieniu, ciężki dzwon wybił sześć, siedem, osiem i tak dalej aż do dwunastu. Dwunasta? To niemożliwe. Było przecież już po drugiej, gdy poszedł spać. Zegar mylił się. Lód musiał się dostać między jego koła i tryby. Dwunasta!

Przycisnął sprężynę swego repetiera[1] w celu skontrolowania ogłupiałego zegara, lecz repetier także wybił dwunastą.

– To niepodobna – mruczał Scrooge – żebym przespał dzień i część drugiej nocy. Niepodobna również, żeby słońcu przytrafiło się coś nadzwyczajnego i żeby zamiast południa była teraz północ.

Zaniepokojony, najprędzej jak mógł wygrzebał się z łóżka i po omacku zbliżył się do okna. Rękawem szlafroka startł mróz z szyby, ale zobaczył niewiele. Zauważył tylko, że było bardzo mglisto i nadzwyczaj zimno. Nie było słychać ludzi, biegnących w różne strony i sprawiających zwykły hałas. Spostrzeżenie to przyniosło mu wielką ulgę. Interesy załatwia się w dzień, nie w nocy.

Scrooge wrócił tedy do łóżka i zaczął rozmyślać o wszystkim, co mu się przytrafiło; pomimo wysiłków nie mógł nic zrozumieć.

Duch Marleya wzburzył go niesłychanie. Ile razy, po dojrzałej rozwadze dochodził do wewnętrznego przekonania, że był to po prostu sen, myśl jego znów wracała, jak uwolniona od nacisku sprężyna, do dręczącego pytania;

– Czy to był sen, czy rzeczywistość?

Scrooge leżał, dręczony niepewnością, dopóki zegar nie wybił trzech kwadransów. Wtedy przypomniał sobie nagle, że, według zapowiedzi widma Marleya, o godzinie pierwszej ma się spodziewać odwiedzin jakiegoś ducha. Postanowił czuwać, dopóki zegar nie wybije tej godziny. Wiedział, że dopóki oznaczony termin nie minie, nie zmruży oka. To było pewne. Uznał, iż nic rozsądniejszego przedsięwziąć niepodobna.

Czekanie jednak tak go znużyło, że chyba zdrzemnął się. Lecz niebawem w jego wytężonych uszach rozległo się złowrogie:

– Ding-dong!

– Kwadrans po dwunastej – zaczął rachować Scrooge.

– Ding-dong!

– Pół do pierwszej – szepnął Scrooge.

– Ding-dong!

– Trzy kwadransy na pierwszą – policzył znów Scrooge.

– Ding-dong!

– Pierwsza! – zawołał Scrooge tryumfalnie. – Pierwsza. Nikt się nie zjawia!

W chwili jednak, gdy rozległo się ostatecznie głucho, groźne uderzenie, cały pokój nagle zajaśniał silnym blaskiem i kotara łóżka Scrooge'a rozsunęła się.

Ściślej mówiąc – kotarę rozsunęła jakaś ręka. I to w dodatku tę część zasłony, na którą Scrooge miał w tej chwili zwrócone oczy.

Scrooge przysiadł na łóżku i znalazł się oko w oko z nadziemskim gościem.

Dziwna to była postać. Niby dziecko, a jednak podobna nie tyle do dziecka, ile do starca, widzianego przez jakąś dziwną atmosferę, która, oddalając go, zmniejszała do rozmiarów dziecka. Włosy, rozwiane i spadające na ramiona, były białe jak włosy starca; natomiast twarz, bez śladu nawet zmarszczek, miała cerę świeżą i rumianą, po prostu młodzieńczą. Barki były szerokie, ręce długie i muskularne, dłonie tak rozwinięte, że zdawało się, iż posiadają nadzwyczajną siłę. Obnażone nogi i stopy były pięknie ukształtowane.

Zjawa przybrana była w śnieżnej białości tunikę, ściągniętą pasem, połyskującym tysiącem brylantów. W ręce trzymała gałązkę świeżego, zielonego świerku, suknię zaś, w dziwnej sprzeczności z tym symbolem zimy, zdobiły świeże kwiaty. Lecz najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że z wierzchołka głowy wytryskał jasny promień światła, który rozjaśniał wszystko dookoła. W chwilach smutku duch ten kładł na głowę, zamiast czapki, wielki kaptur do gaszenia świec, który teraz trzymał pod pachą.

Dla Scrooge'a, który ze wzrastającym zainteresowaniem przypatrywał się gościowi, największą osobliwością całej postaci był pas. Pas ten lśnił, skrzył się, raz w jednym miejscu, to znów w innym tak, że to, co było jasne, za chwilę stawało się ciemną plamą i tak na przemian. Cała postać zjawy też odbijała owe zmiany świetlne, a wskutek tego przedstawiała się co chwilę inaczej. To zdawała się mieć jedną tylko nogę, to jedną rękę, to znów parę nóg, to korpus bez głowy, to wreszcie głowę bez korpusu. Zmiany te następowały bardzo szybko.

– Czy ty jesteś tym duchem, którego przyjście mi zapowiedziano? – spytał Scrooge.

– Tak, jestem nim!

Głos był miły, dźwięczny, lecz tak słaby, jak gdyby dochodził z oddalenia.

– Kim ty jesteś? – badał Scrooge.

– Jestem duchem wigilijnym przeszłości.

– Bardzo dawnej przeszłości? – zapytał Scrooge, wpatrując się w zjawę.

– Nie. Duchem twoich minionych Wigilii. Zapewne Scrooge nie byłby w stanie powiedzieć, dlaczego zapragnął widzieć ducha w osobliwej czapce na głowie. Ale faktem jest, że nie mógł się pohamować i poprosił ducha o nakrycie głowy.

– Co?! – zawołał duch. – Chcesz swymi występnyimi rękoma zagasić dobroczynne światło, które ci przynoszę? Czy mało ci jeszcze, że jesteś jednym z tych, których namiętności złożyły się na utworzenie tej czapki i skazały mnie

do noszenia jej przez całe wieki?

Scrooge pokornie wyparł się wszelkiej intencji obrażenia ducha i zapewnił, że nigdy w życiu świadomie nie przyczynił się do skazania go na taką przykrość. W końcu odważył się zapytać gościa, co go właściwie sprowadza.

– Twoje dobro! – odparł duch.

Scrooge wyraził serdeczne podziękowanie, lecz pomyślał, że spokojny, niczym nie zamącony sen byłby właściwszy.

Duch musiał odgadnąć jego myśli, gdyż odezwał się:

– Ścisłej mówiąc, sprowadza mnie tu pragnienie twojej poprawy. Jeżeli ci się to nie podoba, biada ci!

Rzekłszy to, wyciągnął swą muskularną dłoń i dotknął jego ramienia, dodając:

– Wstań i pójdz ze mną!

Przestraszony Scrooge próbował tłumaczyć się, że nie jest ubrany i ma katar oraz że w takim stanie lepiej jest pozostawać w ciepłym łóżku, niż spacerować po nocy. Duch nie pozwolił mu jednak przyjść do słowa, wziął go za rękę i pociągnął za sobą. Dotknięcie zjawy, chociaż delikatne jak wytwornej damy, uniemożliwiało opór. Scrooge wstał, lecz widząc, że duch prowadzi go ku oknu, schwycił go za tunikę, wołając błagalnie:

– O, duchu łaskawy! Ja przecież jestem zwykłym śmiertelnikiem, łatwo mogę upaść...

– Dotknę cię moją ręką, o, tutaj – rzekł duch, kładąc rękę na sercu Scrooge'a – a dotknięcie to sprawi, że wytrzymasz jeszcze cięższe próby.

Podczas tej rozmowy przeszli przez ścianę domu i znaleźli się daleko za miastem, na otwartej drodze wiejskiej. Miasto zniknęło, nigdzie ani śladu zabudowań. Razem z miastem znikły ciemność i mgła. Jaśniał teraz mroźny, lecz pogodny dzień zimowy. Ziemię pokrywał całun śniegu.

– Sprawiedliwe nieba! – zawołał Scrooge, rozglądając się dokoła – przecież to moja rodzinna wioska... Wychowałem się tutaj, bawiłem się z rówieśnikami... Tak, tu spędziłem lata chłopięce...

Duch spoglądał na niego z łagodnym uśmiechem. Jego lekkie, przelotne dotknięcie obudziło uczucia starego Scrooge'a, który teraz chciwie wdychał balsamiczne wonie, unoszące się w powietrzu, a każda wskrzeszała w nim tysiące wspomnień, nadziei, radości i trosk – dawno zapomnianych...

– Twe usta drżą – odezwał się duch. – A co tam błyszczą na twoim policzku?

– Nic! Nic! – wykrztusił wzruszony Scrooge. – Zapewniam cię, że wcale nie czuję obawy. Prowadź mnie, dokąd chcesz!

– Poznajesz tę drogę? – zapytał duch.

– Czyją poznaję?! – zawołał Scrooge z zapałem. – Mógłbym iść po niej z zawiązanymi oczami!

– Tym bardziej więc dziwne jest, że nie przypomniałeś jej sobie przez tyle lat – zauważył duch. – Idźmy dalej.

Szli więc wzdłuż drogi.

Scrooge poznawał każdy wzgórek, każdą bramę, słup lub drzewo.

Wreszcie w oddali ukazało się małe miasteczko z mostem, kościołem i wijącą się srebrną wstęgą rzeczeki.

Jednocześnie zjawiły się kosmate kuce, biegnące ku nim truchtem, z małymi chłopcami na grzbietach, którzy nawoływali wesoło innych chłopców, jadących na wozach wiejskich. Wszyscy byli w doskonałych humorach i tak ochoczo pokrzykiwali, że cała przestrzeń wypełniła się wesołym gwarem.

– To są tylko cienie przeszłości, które kiedyś istniały – rzekł duch. Nas te istoty nie przeczuwają nawet.

Rozbawieni mali podróżni zbliżali się, a Scrooge poznawał i nazywał każdego z nich po imieniu.

Byli to jego rówieśnicy, weseli towarzysze lat młodzieńczych.

Dlaczego ich widok sprawiał mu taką niewypowiedzianą radość? Dlaczego, gdy go mijali, jego wzrok, zwykle zimny i surowy, płonął teraz jasno, a serce w piersi biło gwałtownie? Dlaczego, gdy ci dziarscy, rozbawieni chłopcy rozstawali się na rozdrożach i życzyli sobie wzajem wesołych świąt Bożego Narodzenia, wesołość wypełniała mu duszę?

Czymże były wesołe święta dla Scrooge'a? Precz z wesołymi świętami! Cóż dobrego przyniosły mu kiedykolwiek?

– Szkoła nie jest jeszcze zupełnie pusta – zauważył duch. – Znajduje się tam jakieś samotne, opuszczone przez wszystkich dziecko.

Scrooge szepnął, że wie o tym i gorzko zapłakał.

Minęli szeroką szosę i dobrze znajomą Scrooge'owi ścieżką zbliżyli się do wielkiego budynku, zbudowanego z czerwonej cegły, na którym trzymała się jeszcze wieżyczka z dzwonem.

Był to niegdyś wspaniały dom, ale spotkały go smutne losy i teraz przedstawiał wymowne świadectwo znikomości rzeczy doczesnych. Jego zewnętrzne ściany przeżarła wilgoć, okna były wybite, bramy i drzwi spróchniałe. Drób gdakał i gospodarował po stajniach, a spichrze, wozowni i szopy porosły chwastem.

Wnętrze niczym nie przypominało dawnej świetności. Znalazłszy się w ciemnym, pełnym śmieci i błota korytarzu, można było przez otwarte drzwi ujrzeć szereg pokoiów, pustych i zimnych. Powietrze było przesycone wilgocią, z każdego kąta wzyerało opuszczenie.

Duch i Scrooge szli przez sień do umieszczonych w tyle domu drzwi, które same otworzyły się przed nimi, odsłaniając długą, pustą i posępną izbę, zastawioną ławami i pulpitemi. Przy jednym z pulpitów samotny chłopiec czytał coś przy dopalającym się ogarku.

Scrooge zakrył twarz dłońmi i zapłakał: w tym opuszczonym chłopcu poznał samego siebie... Najmniejsze echo w tej pustce, pisk i bieganie myszy, krople spadające z na wpół odmarzniętej rynny gdzieś w tylnej części domu, słaby szmer bezlistnych gałęzi topoli, skrzywienie drzwi pustego spichrza,

wiszących na naderwanym zawiasie, pryskanie dogasającego na kominku ognia – wszystkie te szmery i odgłosy spadały niby kojący balsam na duszę Scrooge'a, przynosząc mu ulgę.

Duch dotknął jego ramienia, wskazując mu jego dawne „ja”, pogrążone w czytaniu.

Wtem jakiś człowiek w dziwacznym stroju i z zatkniętą za pas siekierą zjawił się przed oknem, prowadząc za sobą osła obładowanego drzewem.

– Ależ to Ali Baba! – zawołał uradowany Scrooge. – To stary, dobry, drogi, poczciwy Ali Baba! Poznaje go doskonale! Pewnego wieczoru wigilijnego – dawno, bardzo dawno temu! – gdy to opuszczone dziecko zostało zupełnie samo, on przyszedł do niego, po raz pierwszy, właśnie w takim ubiorze jak teraz. Biedny chłopiec!

– A to Walentyn! – ciągnął dalej Scrooge – i jego dziki brat, Orson. A ten, jakże się on nazywa – no ten, którego położono śpiącego u bram Damaszku? Czy go nie widzisz? O, koniuszy sułtana, postawiony przez wróżkę na głowie nogami do góry... Ha... ha... wciąż stoi na głowie! Dobrze mu tak! Bardzo mnie to cieszy! Jakim prawem chciał się żenić z córką sułtana?

– A tam papuga! – snuł swoje wspomnienia Scrooge. – Zielona, z żółtym ogonem, z czubem wyrastającym z głowy, podobnym do liści sałaty! Znalazł ją Robinson Kruzoe, gdy wrócił do domu po opłynięciu swej wyspy. Nauczył ją wołać: „Biedny Robinsonie Kruzoe!”. Gdy papuga tak przemówiła, sądził, że śni; a to istotnie mówiła papuga... A tam Piętaszek pędzi do zatoki, uciekając przed ludożercami... Szybciej! Śmiało! Nie trać odwagi! Robinson cię ocali...

Przechodząc od jednego wspomnienia do drugiego, z energią, jakiej by nikt w nim nie podejrzewał, Scrooge nagle uniósł się litością nad swym dawnym „ja”.

– Biedny, biedny chłopiec! – szepnął i zapłakał.

– Pragnąłbym – mruknął po chwili, otarłszy łzy rękawem szlafroka – pragnąłbym bardzo... ale teraz pewnie już za późno!

– O co ci chodzi? – zapytał duch.

– Nic – odparł Scrooge – ot, drobnostka. Przypomniałem sobie jakiegoś wyrostka, który wczoraj wieczorem śpiewał pieśń świąteczną przed drzwiami mego kantoru. Żałuję, że mu nic nie dałem. Ot, wszystko.

Duch uśmiechnął się, skinął ręką i rzekł:

– Teraz zobaczymy inną Wigilię.

W tej chwili chłopiec był już o kilka lat starszy, a izba szkolna stała się jeszcze ciemniejsza i bardziej brudna. W ścianach ukazały się szczeliny, okna pokrzywiły się, tynk podpadał kawałkami z sufitu, odkrywając nagie deski.

W jaki sposób wszystkie te zmiany mogły odbywać się tak szybko? Scrooge tego nie wiedział. Wiedział tylko, że gdy inni chłopcy udali się na wesołe święta, do domów rodzinnych, on pozostał w szkole sam jeden, zapomniany i opuszczony.

Teraz jednak nie czytał, natomiast zrozpaczony chodził po izbie szkolnej

wzdłuż i wszerz. Scrooge spojrział na ducha, potrząsnął żałośnie głową, po czym niespokojny i wyczekujący wzrok skierował ku drzwiom.

Drzwi te otworzyły się i do szkoły wpadła mała dziewczynka, znacznie młodsza od chłopca, rzuciła mu się na szyję i całując go wołała:

– Mój drogi, dobry braciszku!

Wycałowawszy go zaś, klaszcząc drobnymi wychudłymi rączkami i śmiejąc się mówiła szybko:

– Przybyłam, mój kochany, ażeby cię zabrać do domu! Tak! Ażeby cię zabrać do domu, do domu!

– Do domu, Fanny? – powtórzył chłopiec.

– Tak, to prawda! – potakiwała rozpromieniona dziewczynka. – Do domu na dobre. Do domu na zawsze. Ojciec jest teraz o wiele lepszy niż był dawniej, nasz dom jest teraz miły! Pewnego wieczoru przemawiał do mnie tak łagodnie, że ośmieliłam się zapytać go jeszcze raz, czybyś mógł wrócić do domu? Odpowiedział, że możesz. I dziś wysłał mnie pocztowym powozem, żebym ciebie, braciszku, przywiozła. Ty niedługo będziesz prawdziwym mężczyzną – dodała z dumą, szeroko otwierając swoje duże oczy – i nigdy już tutaj nie wrócisz. Teraz spędzimy razem święta Bożego Narodzenia, będziemy doskonale się bawili. Ach! co to będzie za rozkosz!

– Jesteś już prawie kobietą, moja mała siostrzyczko! – zawołał chłopiec.

Ona zaś radośnie klasnęła w ręce i śmiejąc się próbowała dosięgnąć jego głowy; widząc jednak, że jest za mała, znów wybuchnęła śmiechem i podniosła się na palcach, aby go jeszcze raz ucałować. Wreszcie zaczęła go ciągnąć ku drzwiom, a on szedł za nią ulegle, nie mając nic przeciwko opuszczeniu tej ponurej izby.

Naraz w sieni rozległ się straszny głos: Znieść na dół rzeczy pana Scrooge'a! Żywo!

Prawie jednocześnie w drzwiach izby szkolnej ukazał się nauczyciel. Przez chwilę spoglądał na chłopca z dziwną uprzejmością, po czym ujął jego rękę i uścisnął tak gwałtownie, że chłopiec zmieszał się i omal nie stracił przytomności. Następnie zaprowadził dzieci do niskiego, odrapanego pokoju, w którym mapy na ścianach i globusy w oknach pokrywał szron. Wyjął teraz karafkę przedziwnie lekkiego wina oraz kawał ciężkiego ciasta i poczęstował młodych gości tymi przysmakami. Równocześnie wysłał chudego służącego, aby ofiarował szklanekę „czegoś” chłopcu pocztowemu. Ten odrzekł, że jest bardzo wdzięczny za poczęstunek, jednak jeśli to jest taki sam napój, którego już kiedyś kosztował, woli raczej nie pić. Tymczasem kufer Scrooge'a został już przymocowany na wierzchu dyliżansu, więc dzieci pożegnały nauczyciela i, zajmąwszy miejsca w dyliżansie, odjechały drogą ogrodową, na której rozpryskiwał się szron i śnieg.

– Ona zawsze była wątpła i delikatna – zauważył duch – zdawało się, iż lada wietrzyk ją zmiecie. Ale serce miała wielkie!

– To prawda – potwierdził Scrooge. – Masz rację. Boże broń, żebym miał

temu przeczyć!

- Umarła zameżna i zostawiła, o ile mi się zdaje, dzieci – rzekł duch.
- Jedno dziecko – poprawił Scrooge.
- Prawda – przyznał duch – a tym dzieckiem jest twój siostrzeniec.

Scrooge zmieszał się, niespokojnie poruszył i jakby ze skruchą szepnął:

- Tak!

Chociaż zaledwie przed chwilą opuścili szkolny gmach, to już znajdowali się na ruchliwych ulicach Londynu. Przechadzały się tu różne duchy, a cienie wozów i powozów walczyły o miejsce dla siebie wśród zamieszania i zgiełku wielkiego miasta. Po ożywionym ruchu w sklepach można było poznać, że był to dzień wigilijny. Wieczór już zapadł, latarnie oświecały ulice.

Duch zatrzymał się przed jakimś składem i zapytał Scrooge'a, czy poznaje to miejsce.

- Czy poznaję? – zawołał Scrooge. – Przecież praktykowałem tutaj! Weszli.

Przy wysokim biurku siedział stary człowiek w walijskiej peruce. Na jego widok Scrooge zawołał z uniesieniem:

- Ależ to Fezziwig! Daj mu Boże zdrowie.

Wtedy stary Fezziwig położył pióro, spojrzął na zegar ścienny, który wskazywał godzinę siódmą, zatarł ręce, poprawił swą obszerną kamizelkę, roześmiał się głośno, potem klasnął w dłonie i zawołał dźwięcznym, jowialnym, wesołym głosem:

- Hej tam! Ebenezer! Dick!

Scrooge, teraz już w postaci młodzieńca, wszedł żywo w towarzystwie swego kolegi.

- Z pewnością Dick Wilkins! – zawołał Scrooge do ducha. – Przysięgam, że to on! Dick był bardzo do mnie przywiązany. Biedny Dick! Biedny!

- Hej tam, chłopcy! – rzekł Fezziwig. – Kończcie już pracę, na dziś dosyć! Przecież to wieczór wigilijny! Zamykajcie okiennice.

Trudno wyrazić, z jakim zapałem zabrali się chłopcy do roboty. Wybiegli na ulicę, zamknęli i zaryglowali okiennice i zanim mogłeś doliczyć do dwunastu, już wrócili, dysząc jak konie wyścigowe.

- Brawo! Doskonale! – zawołał stary Fezziwig, zeskakując z wysokiego stołka ze zwinnością godną podziwu. – Uprzątnąć, chłopcy, z pokoju rzeczy zbyteczne, żebyśmy mieli sporo miejsca! Hej-ho, Dick! Hej-ho, Ebenezer!

Uprzątnąć! Nie było takiej rzeczy, której nie uprzątnęliby, gdy stary Fezziwig patrzył na nich. Załatwili to w minutę. Każda rzecz ruchoma została gdzieś usunięta, podłogę skropiono i zamieciono, lampy opatrzone, nałożono świeżego paliwa do kominka; lokal sklepowy przedstawiał miłą, zaciszną, jasną i suchą salę balową, jaką sobie można wymarzyć w noc zimową.

Zjawił się skrzypek z nutami pod pachą, podszedł do wysokiego biurka, zamieniając je na pulpit, i zaczął stroić instrument, który jęczał i skrzypiał przy tej operacji. Weszła pani Fezziwig, dobrze odżywiona, wiecznie

uśmiechnięta dama, uosobienie dobroci i wyrozumiałości. Weszły trzy panny Fezziwig, promieniejące i rozkoszne. Za nimi wkroczyło sześciu młodych adoratorów z pogruchotanymi sercami. Przybyli młodzi mężczyźni i kobiety, zatrudnieni w tym domu. Z nimi służąca ze swym kuzynem piekarzem. Weszła kucharka z przyjacielem swego brata, rozwozicielem mleka. Zjawił się maleńki podmajstrzy z naprzeciwka, którego podejrzewano o to, że go pracodawca głodzi; chował się on za służącą z sąsiedniego domu, którą jego pryncypałowa za coś szczególnie prześladowała. Wszyscy wchodzili spokojnie, bez tłoczenia się; jedni nieśmiało, inni zuchwale, jedni z wdziękiem, inni niezgrabnie, aż wreszcie wszyscy znaleźli się w pokoju.

Niebawem rozpoczęły się ochocze tańce. Najprzód wszyscy tańczyli razem, ze dwadzieścia par, trzymając się za ręce i tworząc wielkie koło. Polowa wysuwała się naprzód, druga cofała się w tył. Kołysali się do taktu, to znów wszyscy kręcili się, grupami lub tworząc długiego węża. Stare pary wciąż się myliły, sprawiały zamieszanie, a młode, bardzo z tego zadowolone, przesuwwały się z błyskawiczną szybkością z jednego końca sali na drugi. Wreszcie wszyscy się zmieszali, skotłowali, wytworzył się istny radosny chaos.

Korzystając z nastroju zapału, stary Fezziwig wstrzymał tańczących kłaśnięciem w dłonie i zawołał:

– Brawo! Doskonale!

Wówczas skrzypek zanurzył swą twarz w kuflu porteru, umyślnie na ten cel przygotowanym. Nie dopijając do końca, podniósł głowę i natychmiast rozpoczął ponownie grać, z jeszcze większą fantazją.

Gdy już nahasano się do woli, rozpoczęła się gra w fanty, a potem znowu były tańce. W przerwach rozdawano ciastka i lemoniadę, pieczyście na zimno i mnóstwo piwa.

Główny punkt programu nastąpił po pieczystym, gdy skrzypek (podstępny był to hultaj; znał on lepiej swoje rzemiosło niż można było sądzić z pozoru!) zagrał popularną melodię ludową. Wtedy stary Fezziwig stanął z panią Fezziwig na czele wszystkich tancerzy.

Pierwsza para miała do spełnienia nie lada zadanie, bo za nią sunęło dwadzieścia kilka par utworzonych z ludzi, z którymi nie można było żartować, bo niewiele wiedzieli o tanecznych krokach, a bardzo pragnęli tańczyć.

Ale gdyby ich było i dwa razy tyle – ba, cztery razy – stary Fezziwig dałby im radę, i pani Fezziwig także. To nie ulega wątpliwości.

Pani Fezziwig była godną towarzyszką swego małżonka w pełnym tego słowa znaczeniu.

Z ruchów i kroków pana Fezziwiga jak gdyby sypały się iskry. Przy każdej jego nowej figurze była niespodzianka. Nie dało się odgadnąć w danej chwili, co będzie dalej. A gdy państwo Fezziwig przeszli przez wszystkie fazy tańca, gdy wykonali wszystkie figury: naprzód, w tył, krzyże, kołysania się, koszyki itp., pan Fezziwig zdobył się na śmiały skok, tak że nogi lekko zaplątały mu się w powietrzu i zdawało się, że je połamie; na szczęście, do katastrofy nie

doszło.

Zabawa skończyła się z chwilą gdy zegar uderzył jedenastą. Państwo Fezziwig zajęli swoje stanowiska po obydwu stronach drzwi i ściskając ręce każdego wychodzącego gościa, życzyli mu uprzejmie wesołych świąt. Gdy już wszyscy wyszli, dwóch praktykantów spotkała ta sama grzeczność. Potem wesołe głosy umilkły, chłopcy zaś pozostali, aby położyć się na posłaniach, które znajdowały się pod stołami w tylnym warsztacie; długo jeszcze gawędzili, ożywieni i rozradowani.

Scrooge, patrząc na wskrzeszone chwile przeszłości, tak był wzburzony, że zdawało się, iż postradał zmysły. Całym sercem uczestniczył w tej zabawie. Pamiętał wszystko i cieszył się wszystkim, doznawał niewypowiedzianych wzruszeń. Dopiero gdy rozjaśnione twarze jego dawnego „ja” i Dicka odwróciły się ku ścianie, przypomniał sobie ducha i zauważył, że przygląda mu się badawczo, a światło na jego głowie jaśnieje silniejszym blaskiem.

– Niewiele potrzeba – odezwał się duch – dla zjednania sobie wdzięczności prostych ludzi.

– Niewiele! – powtórzył, jak echo, Scrooge. Duch dał mu znak, aby posłuchał rozmowy dwóch praktykantów, którzy z zapalem wychwalali Fezziwiga, po czym rzekł:

– Czy nie mam racji? Ów Fezziwig wydał zaledwie trzy lub cztery funty szterlingi; to przecież nie powód, żeby go wychwalać pod niebiosy. Jakaż tu zasługa?

– Ależ to nie o to chodzi – zaproponował Scrooge, podniecony wspomnieniem, nie pamiętając, że wypowiada przekonania dawnego Scrooge’a. – To nie o to chodzi, duchu. On ma możliwość uczynienia nas szczęśliwymi lub nie; uczynienia życia naszego lżejszym lub cięższym, a naszą pracę przyjemną lub przykrą. Cóż z tego, że jego władza przejawia się tylko w dobrym słowie, poczciwym spojrzeniu, w drobiazgach wręcz nieuchwytnych? To nic nie znaczy, gdyż nie w tym istota rzeczy. Życzliwość, jaką on roztacza dokoła siebie, jest tak wielka, a dla nas tak droga, że się niczym opłacić nie da.

Spotkawszy przenikliwy wzrok ducha, zamilkł.

– Cóż się z tobą dzieje? – zapytał duch.

– Nic szczególnego – odrzekł Scrooge.

– A jednak coś się dzieje? – powtórzył.

– Ależ nic, nic... Chciałbym tylko powiedzieć w tej chwili słów kilka memu pomocnikowi. To wszystko.

Gdy wygłosił to życzenie, jego dawna postać przykręciła lampę i wraz z duchem znaleźli się znów na ulicy.

– Czas mój mija – zauważył duch. – Śpieszmy się!

Słowa te nie były skierowane do Scrooge’a czy jakiegokolwiek istoty widzialnej mimo to wywołały niezwykły skutek; Scrooge znowu ujrzał samego siebie. Był już starszy. Twarz jego nie miała jeszcze surowych linii lat późniejszych, lecz w rysach jej już się przejawiały pierwsze ślady skąpstwa

i niepokoju. W oczach zaś migotał wyraz drapieżnej chciwości, która zaczynała się rozrastać w jego duszy. Nie ulegało wątpliwości, w jakim kierunku potoczy się jego życie.

Nie był sam. Obok siedziała młoda i piękna dziewczyna w żałobie, z oczyma pełnymi łez.

– Wiem, że to rzecz obojętna – mówiła dziewczyna zgnębionym głosem. – Zwłaszcza obojętna dla pana, gdyż inne bóstwo zajęło w pańskim sercu moje miejsce. Jeżeli ono zdoła dostarczyć ci w przyszłości takiej słodyczy, ukojenia i radości, jaką ja pragnęłabym cię otoczyć, to nie mam powodu do troski.

– Jakież to bóstwo cię zastąpiło? – zapytał dawny Scrooge.

– Pieniądz.

– Oto sprawiedliwość ludzka! – zawołał dawny Scrooge. – Przeklinają ubóstwo, a jednocześnie potępiają tych, którzy w pocie czoła starają się o dostatek.

– Przesądzasz pan sprawiedliwość świata – zauważyła dziewczyna. – Pan wszystkie swoje myśli i pragnienia skierował na jeden cel: wzbogacenia się. Widziałam, jak wszystkie twoje szlachetne uczucia gasły, jedno po drugim, tłumione tą namiętnością, która ostatecznie zwyciężyła. Czy to nieprawda?

– I cóż z tego? – zapytał. – Jeżeli stałem się praktyczniejszy i rozsądniejszy, to nie znaczy, żebym się zmienił względem ciebie. Potrząsnęła główką.

– Czy zmieniłem się?

– Pomiedzy nami istnieje umowa, którą zawarliśmy wówczas, kiedy byliśmy oboje biedni. Wówczas nie uskarżaliśmy się na los, lecz pracowaliśmy pełni nadziei, że przyjdą dla nas lepsze czasy, praca zapewni nam skromny byt. Od tego czasu zmieniłeś się. Gdy zawieraliśmy umowę, byłeś innym człowiekiem.

– Byłem wtedy prawie dzieckiem – przerwał niecierpliwie.

– To sprawa twojego sumienia i sam zapewne wiesz, że byłeś zupełnie inny – odparła. – Co do mnie, nie zmieniłam się. To, co nam obiecywało szczęście, gdy jednako czuliśmy i myśleliśmy, teraz jest dla nas źródłem cierpienia i męki. Często o tym myślałam i z tak wielkim bólem, że nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. Teraz zwracam ci słowo.

– Czy kiedykolwiek żądałem tego?

– Słowami – nie.

– W jaki więc sposób?

– Zmianą usposobienia, widocznym zniecierpliwieniem i niepokojem. Zmieniłeś się we wszystkim, odmieniłeś treść swego życia i jego cel. Gdybyś dawniej nie dał mi słowa, powiedz szczerze – czy teraz zechciałbyś mnie pojąć za żonę? Z pewnością nie!

Zdawał się uznawać słuszność jej przypuszczenia, a mimo to odparł:

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

– Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła myśleć inaczej! – szepnęła ze

smutkiem. – Bóg świadkiem, że byłabym bardzo szczęśliwa. Jedynie wymowa faktów doprowadziła mnie do tak bolesnych wniosków. Gdybyś był wolny w tej chwili, czy wybrałbyś sobie za żonę biedną dziewczynę, ty, który w chwilach najgorętszych uniesień nie przestajesz ważyć spraw na szalach zysku i patrzeć na wszystko jak na interes? Gdybyś się nawet zapomniał na chwilę, i połączył ze mną dozgonnie, to jestem pewna, że wkrótce żałowałbyś tego kroku. Wiem, że przyszłoby do tego niebawem i to jest powodem, że zwracam ci dane słowo. Czynię to szczerze, w imię miłości, jaką kiedyś żywiłam dla ciebie.

Chciał coś powiedzieć, lecz ona ciągnęła dalej:

– Jestem przekonana, że zerwanie zabolę cię. Lecz krótko będziesz cierpieć. Potrafisz pozbyć się wszelkich wspomnień o naszej miłości. Obyś był szczęśliwy w życiu, jakie sobie obrałeś!...

W ten sposób się rozstali.

– Dostyc już, duchu! – zawołał Scrooge – zaprowadź mnie do domu. Nie jestem w stanie dłużej znosić podobnych udręczeń!

– Jeszcze jeden cień! – odparł duch.

– Nie nie, dostyc! – błagał Scrooge. – Nie chcę nic więcej widzieć! To ponad moje siły!... Nieubłagany duch pochwycił go jednak mocno w ramiona i kazał mu patrzeć na następny obraz.

Znajdowali się teraz w niewielkim pokoju, urządzonej zacisznie i wygodnie. Przy kominku, na którym płonął jasny ogień, siedziała dziewczyna tak podobna do poprzedniej, iż Scrooge myślał, że to ta sama, dopóki nie zauważył, że tamta jest teraz poważną mężatką, a obok siedzi jej córka.

W pokoju było gwarno, a nawet hałas, sprawiany przez gromadkę dzieci, których Scrooge w pierwszej chwili nie zauważył. Ta dzieciarnia zachowywała się swobodnie: każdy z malców swawolił i krzyczał za czterdziestu. Dlatego panowała olbrzymia wrzawa, która jednak nikomu nie przeszkadzała. Matka i córka były zadowolone i serdecznie się śmiały. Wreszcie córka, wmieszawszy się do zabawy, została przez małych swawolników opadnięta ze wszystkich stron...

Czego bym nie dał, żeby być jednym z nich! Lecz nie byłbym tak okrutny, jak oni, wierzcie! Za wszystkie skarby świata nie ośmieliłbym się potargać gładko uczesanych włosów pięknej siostrzyczki ani też zabrać jej pantofelka! Nie ośmieliłbym się również objąć wiotkiej jej kibici.

A jednak, wyznaję, pragnąłbym dotknąć jej ust; pragnąłbym zapytać ją o coś; patrzeć na jej spuszczone skromnie oczy, tak żeby nie wywołać rumieńca; pragnąłbym rozpleść jej włosy, których najmniejszy loczek przechowałbym jako drogą pamiątkę. Słowem, pragnąłbym wobec niej posiadać wszelkie przywileje dziecka i jednocześnie pozostać dojrzałym mężczyzną.

Po chwili rozległo się pukanie i dzieciarnia rzuciła się ku drzwiom tak gwałtownie, że piękna siostrzyczka została porwana przez rozigraną gromadkę i pociągnięta na powitanie ojca, wchodzącego z posłańcem obładowanym gwiazdkowymi podarkami.

Teraz, wśród krzyku i wrzawy, nastąpił atak na posłańca. Dzieci wdrapywały się na niego po krzesłach, aby zanurzyć ręce w jego kieszeniach, pozbawić go paczek, wieszały mu się na szyi, siadały na barkach i kopały go po nogach – a wszystko to z radości, której oprzeć się nie były zdolne.

Z jakim podziwem i uciechą witano zawartość każdej, choćby najmniejszej paczki! Ile było radości i zachwytu! Jakąż rozpacz wywołało przypuszczenie, że jedno z dzieci, wzięwszy do ust maleńką brytfannę z kuchni dla lalek, połknęło znajdującego się w niej indyka z cukru... Jaką ulgę uczuli wszyscy, gdy okazało się, że to był fałszywy alarm... To wszystko nie da się opisać...

Nadeszła wreszcie godzina spoczynku. Dzieci, uspokojone już nieco, udały się z otrzymanymi zabawkami do swego pokoju na piętrze, gdzie ułożono je w łóżeczkach. Dopiero wtedy w domu zapanował spokój.

Teraz Scrooge ujrzał, jak ojciec tej rodziny przytulił serdecznie do siebie młodą żonę i z nią oraz z najstarszą córką zasiedli przy kominku. Pomyślał, że on również mógł być ojcem takich miłutkich i pełnych nadziei istot, i twarz jego spochmurniała jeszcze bardziej, a w oczach ukazały się łzy.

– Bello – odezwał się w tej chwili mąż, zwracając się do małżonki z łagodnym uśmiechem –

widziałem dziś po południu twego dawnego przyjaciela.

– Kogóż to?

– Zgadnij.

– Nie wiem doprawdy o kim myślisz?

– Szczura!

– Cóż znowu! Ach, teraz już wiem – podchwyciła, śmiejąc się równie szczerze jak mąż. – Pana Scrooge'a?

– Tak, pana Scrooge'a. Przechodziłem koło okna jego kantoru, a ponieważ nie było zasłonięte i wewnątrz świeciło się, przeto mimo woli zobaczyłem go. Mówią, że jego wspólnik umarł, więc siedzi tam teraz sam. A sądzę, że jest on naprawdę samotny i że nie ma na całym świecie żadnej bliskiej, życzliwej istoty.

– Duchu – szepnął Scrooge drżącym głosem – zabierz mnie stąd...

– Uprzedziłem cię przecież, że pokażę ci cienie twego dawnego życia – odparł duch. – Nie wiń mnie, lecz samego siebie, że jest takie, jak widzisz.

– Wyprowadź mnie stąd! – wołał Scrooge. – Nie mogę znieść tego widoku!

Zwrócił się ku duchowi, a zauważywszy, że na jego obliczu w niepojęty sposób odbiły się niektóre rysy tych twarzy, które niedawno widział – rzucił się na niego z rozpaczliwym krzykiem:

– Wyprowadź mnie stąd! Nie dręcz dłużej!

Podczas zmagania się z duchem Scrooge spostrzegł, że nad głową zjawy unosi się teraz jeszcze jaśniejszy snop światła; sądząc, że owo światło daje duchowi przewagę nad nim, chwycił gasidło i wtłoczył mu je na głowę.

Duch skurczył się, a choć gasidło przykryło całą jego postać i Scrooge przyciskał je z całej siły, nie mógł jednak stłumić światła, które wydobywało się

spod spodu.

Nagle Scrooge poczuł, że jego siły wyczerpują się i ogarnia go senność. Po chwili spostrzegł, że znajduje się w swojej sypialni. Dowłókł się do łóżka, rzucił się na nie i natychmiast twardo zasnął.

Rozdział 3

Odwiedziny drugiego ducha

Scrooge'a obudziło własne chrapanie. Natychmiast usiadł na łożku, by pozbierać myśli.

Czuł, że obudził się o właściwej porze i wyraźnie w tym celu, aby odbyć konferencję z drugim gościem, przysłanym mu przez Jakuba Marleya. Na myśl jednak, że którąś z kotar jego łożka mogłoby odsunąć nowe widmo, niemiły dreszcz przebiegł jego członki; sam przeto rozsunał kotary. Potem znów się położył i postanowił czuwać. Chciał pierwszy odezwać się do ducha w chwili jego zjawienia się, nie lubił bowiem być zaskakiwany.

Ludzie szczególnej odwagi, którzy nigdy nie tracą zimnej krwi, zwykle o sobie mówią:

„Jesteśmy zdolni do wszystkiego – od zjadania chleba aż do połykania ludzi”. Między tymi dwiema ostatecznościami znajduje się niewątpliwie szerokie pole do popisu.

Nie pragnę bynajmniej przedstawić Scrooge'a jako samochwała, mogę was jednak zapewnić, że był on przygotowany na wszystkie nadzwyczajne zjawiska. Wmawiał w siebie, że teraz nic nie może go wprawić w zdumienie, poczynając od kolebki dziecka, a na olbrzymim nosorożcu kończąc.

Ponieważ był przygotowany na wszystko, nie spodziewał się niczego nadzwyczajnego. Gdy zegar wybił pierwszą i nie zjawił się nikt, uczuł lodowate zimno, a ciało jego przebiegły dreszcze. Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans – żadnego widma!

Kiedy tak leżał na łożku, nagle oblało go czerwone światło. Zaniepokoiło go to o wiele więcej niż gdyby ukazał się cały tuzin duchów, ponieważ niepodobna było odgadnąć, co ono znaczy i do czego ma służyć. Przez chwilę obawiał się, że może nagle spłonąć. Wreszcie przyszło mu na myśl, że źródło tego dziwnego światła znajduje się w sąsiednim pokoju, z którego – jak to stwierdził po bliższej obserwacji – istotnie promieniowało. Wstał po cichu i w pantoflach podreptał do drzwi.

Gdy Scrooge położył rękę na klamce, jakiś obcy głos kazał mu wejść. Ustuchał.

Był to jego własny pokój. To nie ulegało wątpliwości. Ale zaszła w nim dziwna zmiana!

Ściany i sufit były przystrojone zielonymi gałęziami, a cały pokój wyglądał jak altana, ozdobiona mnóstwem purpurowych jagód. Liście bluszczu, jemioly i świerku odbijały światło i wyglądały jak mnóstwo małych zwierciadełek. Na kominie płonął tak silny ogień, jakiego ten komin od wielu lat nie znał.

Na podłodze był urządzony wielki bufet z indyków, gęsi, kaczek, dziczyzny, dużych kawałów pieczeni, prosiąt, długich wianków kiełbas, ciast i budyniów, beczulek z ostrygami, pieczonych kasztanów, różnych jabłek, soczystych

pomarańczy, apetycznych gruszek, olbrzymich placków i naczyń z wrzącym ponczem. Napełniało to pokój przedziwnym zapachem. Pośrodku bufetu rozparł się wygodnie olbrzym o wspaniałym wyglądzie i wesołym obliczu. W rękę trzymał płonącą pochodnię w kształcie rogu obfitości; uniósł ją wysoko, aby oświecić Scrooge'a w chwili, gdy ten ostrożnie zaglądał do pokoju.

– Wejdz! – zawołał ów duch. – Wejdz, przyjacielu, musimy się poznać. Scrooge wszedł nie bez trwogi i pochylił głowę przed duchem. Nie był to już śmiały, niczego się nie obawiający, dawny Scrooge; chociaż oczy ducha miały wyraz pogodny, on unikał ich spojrzenia.

– Jestem duchem tegorocznego Bożego Narodzenia – przemówiło widmo – przypatrz mi się dobrze.

Scrooge lękliwie podniósł oczy i spojrzał na ducha z szacunkiem.

Był on przybrany w rodzaj ciemnozielonej opończy, obramowanej białym futrem. Szerokie piersi były odsłonięte. Także nogi, wyglądające spod szerokich fałd opończy, były bose, na głowie zaś miał wieniec z liści dębowych, wśród których tu i ówdzie przebłyskiwały sopelki lodu. Jego ciemne włosy spadały w luźnych lokach na barki. Pogodne oblicze, błyszczące oczy, rubaszny głos, swobodne zachowanie się – wszystko mówiło o otwartości i wesołym usposobieniu. Przy jego boku wisiała u pasa stara pochwa, na poły zjedzona przez rdzę, bez miecza.

– Nie widziałeś dotychczas nikogo podobnego do mnie? – zapytał duch.

– Nigdy – potwierdził Scrooge.

– Nie spotkałeś na drodze swego życia młodszych członków mojej rodziny? Mam na myśli moich starszych braci? – pytał duch dalej.

– Nie sądzę – odparł Scrooge. – A nawet jestem pewien, że nie. Dużo masz braci, duchu?

– Przeszło dziewięćuset – odpowiedział.

– Przerażająco liczna rodzina, szczególnie dla tego, kto musi troszczyć się o jej utrzymanie –

mruknął Scrooge. Tegoroczny duch powstał.

– Duchu – rzekł Scrooge pokornie – prowadź mnie, dokąd chcesz. Wczorajszej nocy wyprowadzono mnie przemocą i dano lekcję, która teraz zaczyna działać. Dziś jestem gotów iść za tobą i nie omieszkać skorzystać z twoich nauk.

– Dotknij ręką mojej szaty – odezwał się duch. Scrooge chwycił ją z całej siły.

Zielone gałęzie, czerwone jagody, indyki, gęsi, pieczenie, prosięta, kiełbasy, pasztety, budynie, owoce i poncz znikły w jednej chwili. Znikł także pokój, ogień, czerwony blask, nocna pora, i Scrooge z duchem znaleźli się na ulicach miasta.

Był to ranek pierwszego dnia Bożego Narodzenia. Z chodników i z dachów zmiatano śnieg, który rozsypując się w powietrzu tworzył śnieżycę, ku niemałej uciesze bawiących się na ulicy dzieci.

Ściany domów, a zwłaszcza ich okna, wydawały się czarne, nie tylko w porównaniu z białym całunem śniegu na dachach, ale i z brudnym śniegiem na jezdniach, w którym ciężkie koła wozów i pojazdów wyorały głębokie bruzdy. Krzyżowały się one w najrozmaitszych kierunkach tworząc istny labirynt wąskich kanałów w brunatnym, zakrzepłym błocie i przemienionej w lód wodzie.

Niebo było pochmurne, nawet najkrótsze ulice ginęły w gęstej mgle, która opadała na ulice w postaci szronu. W całym otoczeniu nie było nic wesołego – a jednak unosiło się w powietrzu coś uroczego i radosnego; nawet najpiękniejsza letnia pogoda i promienie słońca nie zdołałyby wytworzyć podobnego nastroju.

Również robotnicy zmiatający śnieg z dachów byli pogodni. Nawoływali się wzajem z dachów, od czasu do czasu rzucali jeden w drugiego kulą śniegową – pocziwszy to pocisk aniżeli niejedno słówko – i zanosili się śmiechem zarówno trafiając do celu, jak w razie chybienia.

Niektóre sklepy spożywcze były otwarte, natomiast owocarnie imponowały bogactwem. Widać było ogromne, pękate kosze kasztanów, przypominające swoją wypukłością brzuchy starych smakoszy. Ustawiono je w drzwiach sklepów i wydawało się, że lada chwila wypadną na ulicę. Czerwonawe, przysadziste główki hiszpańskiego czosnku zdawały się spoglądać wyzywająco na skromnie snujące się dziewczęta. One zaś tylko spod oka spoglądały na wiszące wszędzie girlandy uwite z gałązek świerku. Dalej piętrzyły się apetyczne piramidy jabłek i gruszek. Ówdzie ułożono stosy winogron, budzących ślinkę w ustach. Dalej umieszczono całe stosy ciemnych, puszkami okrytych orzechów, przypominających swoim aromatem zapomniane przechadzki po lasach. Tutaj pieczone, suszone i świeże jabłka norfolskie, prześlicznie wyglądające na tle cytryn i pomarańcz zdawały się wręcz napraszać, aby je zawinięto w papier i zabrano do domu na deser. Złote i srebrne rybki, chociaż zimnokrwiste, teraz wystawione w małych, szklanych akwariach, wśród bogactwa owoców, jakby odgadywały, że dzieje się coś niezwykłego, gdyż z wielkim wzburzeniem przepływały tam i z powrotem swoje siedziby.

A sklepy kolonialne... Co tam za skarby! Chociaż drzwi do niektórych sklepów były tylko do połowy uchylone, to przez szpary można było podziwiać ich zasoby. Zwracały tam uwagę nie tylko wesołe szczęknięcia talerzy wag; nie tylko furkot sznurków, szybko odwijanych z żelaznych kółek, aby nimi zręcznie owinać paczki zakupionych towarów; nie tylko nieustanny brzęk blaszanych szufelek, nabierających kawę lub herbatę; nie tylko dźwięk wydawany przez różnorodne paczki, rzucane na kontuar, które zjawiały się i znikwały, jak kule w rękach żonglera...

Nade wszystko zwracał uwagę zmieszany aromat kawy i herbaty, tak przyjemny dla powonienia. Pięknie pachniały stosy czerwonych, dużych rodzynków i śnieżnobiałych migdałów; góry cynamonu i innych aromatycznych

korzeni; owoce smażone w cukrze, których sam widok łaskotał podniebienie; festony mięsistego i soczystego winogrona; koszyki pełne skromnie zarumienionych śliwek francuskich. Słowem – wszystkie te przeróżne smaczne rzeczy, przedstawiane w najponętniejszych postaciach...

Główną uwagę zwracali kupujący, jakby niecierpliwie pragnący wypełnić dziś od dawna wymyślony plan. Tłoczyli się w drzwiach, uderzając jeden drugiego koszykami i paczkami, zapominając na kontuarze część zakupów i szybko wracając po nie; popełniając wiele pomyłek i przeoczeń z niezwykłą dobroduszością. Jednocześnie trzeba było podziwiać cierpliwość kupca i jego pomocników, ich uprzejmość, ugrzecznienie, z jakim starali się dziś zwracać do wszystkich. Zdawało się, że gdybyś od nich zażądał serca, bez wahania ofiarowaliby je z równą skwapliwością, jak herbatę lub kawę.

Wtem zabrzmiały dzwony, wzywające pobożnych do kościoła. Wkrótce ulice zaroily się ludźmi, którzy przywdzieli nie tylko odświętne szaty, ale także uroczyste, świąteczne miny.

Jednocześnie z bocznych ulic, uliczek i zaułków bez nazwy wyplęło mnóstwo ludzi, którzy nieśli swój obiad do piekarza, aby go odgrzać.

Widok tych biednych, a jednak tak szczęśliwych w tej chwili, zdawał się najwięcej interesować ducha, zatrzymał się bowiem wraz ze Scrooge'em przy drzwiach jednej z piekarń i podnosząc pokrywy naczyń w chwili gdy ludzie przechodzili obok niego, oświetlał ich posiłek swą pochodnią.

Była to iście cudowna pochodnia; gdy bowiem kilku ludzi poczęło się o coś spierać i nawet padły dość ostre wyrazy, duch „pokropił” ich kilkoma kroplami ze światła swej pochodni, a natychmiast wrócił im pogodny nastrój. Przyznawali, że wstyd sprzeczać się w dzień Bożego Narodzenia.

Niebawem dzwony umilkły, a sklepy piekarzy zamknięto. W powietrzu unosiły się smaczne zapachy odgrzewanych obiadów, a kominy pieców wyrzucały kłęby dymu pomieszanego z parą.

– Zapewne twoja pochodnia ma jakąś szczególną właściwość? – zapytał Scrooge.

– Tak, czynienia wszystkiego przyjemnym i dobrym.

– Czy działa tak na każdy obiad w tym dniu? – pytał dalej Scrooge.

– Na każdy podawany z dobrą wolą. Szczególnie na obiad ubogich.

– Dlaczego?

– Ponieważ oni tego najwięcej potrzebują.

Wciąż niewidzialni, duch wraz ze Scrooge'em, udali się na przedmieście.

Duch, pomimo olbrzymiej postaci, wszędzie dostawał się z łatwością, i zarówno w niskiej lepiance, jak i we wspaniałej sali pałacu przedstawiał się imponująco.

Być może powodowany radością, jaką odczuwał z posiadania władzy, a może powodowany serdeczną naturą i współczuciem dla biednych – duch zaprowadził Scrooge'a, wciąż trzymającego się jego szaty, do mieszkania jego

pomocnika. Na progu duch zatrzymał się z uśmiechem i pobłogosławił mieszkanie Boba Cratchita światłem ze swej pochodni.

Pomyślcie – Bob miał tylko piętnaście szylingów na tydzień, które każdej soboty chował do kieszeni, jednak duch błogosławił dzisiejszej nocy jego domowi.

Małżonka Cratchita, w ubogiej, dwa razy już przerabianej sukni, przystrojonej tanimi wstążkami, ale wyglądająca wcale ładnie, nakrywała właśnie stół. Pomagała jej córka Belinda. W tym czasie syn Piotr sprawdzał, czy gotują się ziemniaki w garnku. Założył dziś olbrzymi kołnierzyk, który pożyczył od ojca, aby wyglądać świątecznie. Napełniło go to taką dumą, że był nawet w parku, aby pokazać się rówieśnikom.

Po chwili wbiegły dwie młodsze latorośle rodziny Cratchit, dziewczynka i chłopczyk, opowiadając głośno, że zza drzwi piekarza doszedł ich zapach pieczonej gęsi i że ta gęś należy do nich. Z wielkiej radości dzieciaki zaczęły tańczyć dookoła stołu, podnosząc Piotra Cratchita pod niebiosa, podczas gdy on dmuchał w ogień, a ziemniaki gotujące się w garnku pukały o pokrywę, jakby błagały, by je wypuszczono i obrano z łupiny.

– Gdzie też ojciec tak długo siedzi? – odezwała się pani Cratchit – i twój brat, Tiny Tim? A Marta zeszłorocznej Wigilii przyszła o pół godziny wcześniej.

– Oto jest Marta, mateczko – odpowiedziała dziewczyna, która w tej właśnie chwili weszła do pokoju.

– Bóg z tobą, drogie dziecko! Jakże późno przychodzisz! – rzekła pani Cratchit, całując córkę a równocześnie zdejmując z niej szal i kapelusz.

– Miałyśmy wiele roboty – odparła dziewczyna—na dziś trzeba było wykończyć ją, mammo.

– Wszystko już dobrze, skoro jesteś – rzekła pani Cratchit. – Usiądź przy kominku, drogie dziecko, ogrzej się.

– Ojciec idzie – odezwało się dwoje najmłodszych dzieci, które zawsze trzymały się razem –

schowaj się, Marto, schowaj się!

Marta ukryła się, a po chwili wkroczył uroczyście do pokoju Bob, ojciec.

Długi szal zwieszał się z szyi, znoszone zaś okrycie było w wielu miejscach połatane i powycierane szczotką, aby ratować jakoś przyzwoity pozór. Na jego barkach siedział Tiny Tim.

Biedny Tiny Tim.

W rączkach miał kule do podpierania, a jego członki opasywały metalowe taśmy, które utrzymywały go na słabych nóżkach.

– Gdzie nasza Marta? – zapytał Bob Cratchit, rozglądając się po pokoju.

– Nie przyjdzie – odrzekła pani Cratchit.

– Nie przyjdzie? – powtórzył Bob, tracąc humor. Był w tak dobrym nastroju, że w drodze z kościoła do domu dziarsko galopował, udając konia dla Tiny Tima, który był tym zachwycony.

– Nie przyjdzie? – powtórzył raz jeszcze z żalem. – Nie spędzi z nami

wieczoru wigilijnego? Marta nie chciała dłużej sprawiać ojcu przykrości. Wyszła z ukrycia i otoczyła rękoma jego szyję. Dwoje małych Cratchitów zajęło się Tiny Timem i zaprowadziło go do kuchni, aby pokazać mu, jak się gotuje świąteczny budyń.

– Czy mały Tim dobrze się sprawował? – zapytała matka, gdy już nażartowała się do syta z łatwowierności Boba.

– Bardzo dobrze – odrzekł Bob. – To złote dziecko. Nie wiem, jak to się dzieje, może to z powodu przesiadywania w samotności, robi się teraz marzycielem i wymyśla dziwne rzeczy. Dziś, gdy wracaliśmy do domu, powiedział mi, że wszyscy ludzie w kościele zwrócili na niego uwagę dlatego, ponieważ jest kaleką i że kalectwo jego powinno im w dniu Bożego Narodzenia przypomnieć Boga, który sprawił, iż chromi chodzili, a ślepi widzieli.

Głos Boba drżał, gdy wymawiał te słowa. Dodał, że Tiny Tim z każdym dniem nabiera sił i energii.

Tymczasem dało się słyszeć stukanie kul o podłogę i po chwili do pokoju wrócił mały Tim, któremu pomagało rodzeństwo.

Bob zawiązał teraz rękawy surduta i wziął się do przygotowania z jałowcówki i cytryn czegoś w rodzaju grogu. Mieszaninę tę rozgrzewał przy ogniu kominka, aby ją doprowadzić do właściwej temperatury.

Gdy Bob był zajęty tą ważną czynnością, Piotr w towarzystwie dwójki najmłodszego rodzeństwa wybrał się po gęś, którą niebawem w uroczystym pochodzie wniósł do pokoju.

Powstał taki hałas, jak gdyby gęś była najrzadszym ze wszystkich ptaków – upierzonym dziwem, przy którym nawet czarny łabędź byłby czymś zwyczajnym.

Istotnie, była ona rzadkim zjawiskiem w tym domu.

Pani Cratchit grzała przy kominku zawczasu przygotowany sos, Piotr z ogromnym zapalem przysmażał kartofle, Belinda słodziła kompot z jabłek, Marta ścierała kurz z ogrzanych talerzy, Bob wziął na ręce Tiny Tima i posadził go przy stole obok siebie w najwygodniejszym miejscu. Dwoje małych Cratchitów przystawiło krzesła do stołu; żadne z nich nie zapomniało o sobie i, zajmwszy swoje miejsca, powsadzały w buzie łyżki, czekając na gęś.

Wreszcie wniesiono potrawy i odmówiono modlitwę. Potem wszyscy zamilkli, wstrzymując oddech w piersiach. Pani Cratchit, przyjrząwszy się doświadczonym okiem ostrzu noża, zabrała się do dzielenia ptaka. Gdy dokonała dzieła, dokoła stołu rozległ się radosny szmer i nawet Tiny Tim, ośmielony przez dwoje małych Cratchitów, uderzył trzonkiem noża o stół i zawołał słabym głosem:

– Wiwat!

Chyba jeszcze nigdy na świecie nie było takiej gęsi. Bob zapewniał, iż uważa to za niemożliwe, aby w ogóle kiedykolwiek upieczono tak smaczną gęś. Jej delikatne mięso, jej wielkość i taniość były przedmiotem ogólnego podziwu. Z dodatkiem kompotu jabłecznego i przysmażonych kartofli stanowiła ona

świetne danie dla całej rodziny. Gdy pani Cratchit zauważyła jedną małą kosteczkę pozostawioną na półmisku, oświadczyła, że przecież nie wszystko zostało spożyte! A każdy z biesiadników jadł, ile chciał! Najlepszym tego dowodem byli malcy, policzki ich bowiem świeciły się od tłuszczu.

Teraz Belinda zmieniała talerze, a pani Cratchit poszła przynieść smakowity deser. Nie mogła tego zrobić przy świadkach, gdyż zanadto była przejęta i niespokojna.

A nuż budyń się nie udał? Wyobraźmy sobie, że przy wyjmowaniu z piecyka rozpadł się w kawałki! Lub że złodziej wśliznął się do kuchni i ukradł, podczas gdy raczono się gęsią! Na tę myśl dwoje małych Cratchitów pobladło z przerażenia. W ogóle dopuszczano przez chwilę wszelkie możliwe okropności...

Halo – chmura pary! Budyń wyjęty z naczynia...

Co za przyjemny zapach bije z serwety, w którą go zawinięto. Mieszanina apetycznych woni. Przypominają one trochę kuchnię, trochę piekarnię, a odrobinę pralnię. Takie aromaty wydawał z siebie ów budyń.

Wreszcie do pokoju weszła pani Cratchit, wzruszona, ale dumna i uśmiechnięta, niosąc przed sobą budyń, wyrośnięty i duży, oświetlony płomykami zapalonego rumu, ze świąteczną gałązką świerku, wetkniętą w sam środek.

O, nadzwyczajny, cudowny budyń!

Bob Cratchit spokojnym głosem oświadczył, że uważa go za największe arcydzieło kucharskie pani Cratchit od czasu, kiedy są małżeństwem. Pani Cratchit odpowiedziała na to, że teraz, kiedy ciężar spadł z jej serca, przyznaje, że była bardzo niespokojna, ponieważ zdawało się jej, że wzięła za dużo mąki.

Każdy miał coś do powiedzenia, ale nikt nie ośmielił się zauważyć, że był to jednak za mały budyń dla tak licznej rodziny. Byłoby to bluźnierstwem. Każdy członek rodziny wstydziłby się, gdyby mu coś podobnego choćby przyszło do głowy.

Wreszcie skończyli ucztę, posprzątało ze stołu i dorzucono węgla do ognia na kominku. Podsyczone płomienie zajaśniały weselej niż przedtem.

Teraz skosztowano przygotowanego przez Boba grogu i okazało się, że też jest znakomity.

Na koniec ustawiono na stole jabłka i pomarańcze, a w ogień rzucono kilka garści kasztanów. Następnie rodzina Cratchitów zasiadła przed kominkiem – jak wyraził się Bob Cratchit – kołem, chociaż było to właściwie półkole: Bob pośrodku, a obok niego cały zapas szklanek.

Naczynia te, napełnione gorącym grogiem, wyglądały tak, jak gdyby to były złote puchary. Bob rozlewał napój z promieniejącym wzrokiem, podczas gdy w ogniu podskakiwały i strzelały kasztany. Potem wznosił toast:

– Daj nam Boże, moi drodzy, spędzić szczęśliwie święta! Niech nas Bóg błogosławi! Cała rodzina powtórzyła toast.

– Niech Bóg błogosławi nas wszystkich i każdego z osobna! – rzekł jako ostatni Tiny Tim. Siedział tuż obok ojca; na małym krzeselku. Bob trzymał jego małą rączkę w swojej dłoni, chcąc okazać dziecku swoją szczególną dla niego miłość.

– Duchu – odezwał się Scrooge ze współczuciem, którego nigdy dotychczas nie doznawał –

powiedz mi, czy Tiny Tim będzie żyć?

– Widzę próżne krzesło przy kominku – odparł duch – i starannie przechowywane kule bez właściciela. Jeżeli przyszłość nie zmieni tego, dziecko umrze.

– Nie, nie! – zawołał Scrooge. – O, dobry duchu, powiedz, że ono będzie żyło...

– Jeżeli przyszłość nie zmieni tego obrazu – powtórzył duch – to żaden z moich następców nie zastanie tutaj tego dziecka. O co ci chodzi? Skoro musi umrzeć, to lepiej, żeby umarło zaraz i zmniejszyło przez to nadmiar ludności.

Scrooge, słysząc swoje wcześniejsze słowa powtórzone przez ducha, pochylił głowę, przejęty skrucą i żalem.

– Człowieku – rzekł duch – jeśli masz serce a nie kamień, to nigdy nie wypowiadaj tak ohydnych słów, dopóki nie zrozumiesz, czym jest nadmiar ludności i gdzie on się znajduje. Czy ty masz prawo rozstrzygać, którzy ludzie mają żyć, a którzy umrzeć? Być może, iż ty w oczach Stwórcy jesteś o wiele mniej wart życia, niż miliony istot podobnych do tego dziecka, biednego człowieka.

Scrooge wysłuchał upomnień ducha w pokorze i spuścił oczy. Naraz usłyszał wymówione swoje nazwisko.

– Niech żyje pan Scrooge! – przemówił Bob. – Wypijmy jego zdrowie, gdyż jest on naszym chlebodawcą i jemu zawdzięczamy naszą ucztę!

– Jemu zawdzięczamy? – zawołała pani Cratchit z oburzeniem. – Pragnęłabym bardzo, żeby tu się zjawił. Wyprawiłabym mu ucztę po swojemu. Tak jest. Wypowiedziałabym mu w oczy wszystko, co o nim myślę, a spodziewam się, że nie przypadłoby mu to do smaku!

– Droga żono, mówisz to przy dzieciach – upomniał ją łagodnie Bob. – Dzisiaj przecież mamy święto Bożego Narodzenia!

– Istotnie, tylko w tak wielkie święto można wznosić toast za zdrowie tak podłego skąpca, człowieka bez serca, jakim jest Scrooge – oburzała się w dalszym ciągu pani Cratchit. – Ty wiesz, Robercie, jaki on jest. Nikt nie wie o tym lepiej od ciebie!

– Droga żono – powtórzył Bob – dziś święto Bożego Narodzenia! Zastanów się!

– A więc wychylę jego zdrowie, uczynię to przez miłość do ciebie i przez wzgląd na dzisiejsze święto – rzekła pani Cratchit. – Niech żyje długie lata! Życzę mu wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku! Życzę mu tego, ale wątpię, czy się to spełni. Bardzo wątpię...

Dzieci, idąc za przykładem matki, wypity również zdrowie Scrooge'a.

Był to pierwszy akt, którego dokonali tego wieczoru bez serdeczności i ciepła, jakby pod naciskiem przymusu. Tiny Tim wypił ostatni, ale nie dodał do tego żadnej uwagi. Widocznie Scrooge był postrachem rodziny. Wymienienie jego nazwiska rzuciło na nich ponury cień, który nie ustąpił przez całe pięć minut.

Gdy wreszcie cień ustąpił, byli znów weseli, chyba dziesięć razy bardziej niż przedtem.

Bob Cratchit uroczyście oznajmił, że ma obiecane dla Piotra miejsce, które mu przyniesie aż półszosta szylinga tygodniowo. Dwoje małych roześmiało się serdecznie na myśl, że będą widzieli Piotra jako człowieka pracy. Sam Piotr spoglądał w zamyśleniu w ogień, zastanawiając się zapewne nad tym, w jakich papierach ulokuje swoje oszczędności, skoro już znajdzie się w posiadaniu tak bajecznej pensji.

Marta, która pracowała u modniarki, opowiadała, jak wiele ma teraz roboty, ile godzin w porze największego ruchu musi pracować i że zamierza jutro wyspać się za wszystkie czasy; będzie to dzień zupełnie wolny. Opowiadała także, iż przed kilku dniami widziała pewną hrabinę i lorda, a lord był prawie tego wzrostu co Piotr. Przy tych jej słowach Piotr podciągnął rogi swego kołnierzyka tak wysoko, że za nimi głowa jego prawie zniknęła.

Tymczasem kasztany i poncz krążyły wciąż wśród rozbawionej rodziny, a Tiny Tim zaśpiewał swym cichym głosikiem piosenkę o dziecku zasypanym przez śnieg; śpiewał bardzo ładnie.

W tym wszystkim nie było nic szczególnego. W rodzinie tej nie było ani jednej postaci pięknie ubranej. Ich obuwie dawno straciło właściwość nieprzepuszczania wody, ich odzież była podniszczona; dzieci wyglądały biednie, a Piotr z pewnością znał dobrze wnętrze lombardu. Mimo to byli szczęśliwi i przepełnieni wdzięcznością za skromne rozkosze, jakimi ich los obdarzał. Kochali się, panowała wśród nich zgoda i spokój ludzi uczciwych. Scrooge z trudnością oderwał od nich oczy, a zwłaszcza żał mu było rozstawać się z małym Timem.

Zrobiło się ciemno i zaczął padać gęsty śnieg. Scrooge i duch szli teraz ulicami Londynu. W oknach domów błyszcząły jasne światła. Można było zobaczyć przygotowania do wieczery, bogato nakryte stoły, stosy talerzy, ogrzewanych na gazie, kosztowne okrycia i meble. Oto dzieci wybiegały na pokrytą śniegiem ulicę, aby powitać przybywających gości: siostry i braci, kuzynów, wujów, ciotki; tu i ówdzie na oknach przesuwwały się cienie zgromadzonych gości; tam znów dziewczęta, przybrane w futrzane kołnierze i także buciki, szczebiocząc jedna przez drugą, lekkim krokiem spieszyły do sąsiadów. Biada kawalerom, którzy by teraz rzucili okiem na ich zarumienione twarzyczki i błyszczące, ożywione spojrzenia. Te figlarne czarodziejki wiedziały doskonale, jak są dla tych biedaków niebezpieczne!

W każdym domu oczekiwano gości i na każdym kominku płonął wesoły

ogień. Duch był bardzo szczęśliwy! Odślaniał szeroką pierś i otwierał dłoń, hojnie rzucając na wszystko dokoła szczere, pocziwe, szlachetne rozradowanie. Nawet latarnik, przebiegający w odświętnym ubraniu ciemne ulice, aby ich ponurą mgłę rozjaśnić blaskami światła, i właśnie myślący o spędzeniu wieczoru u towarzysza pracy, roześmiał się głośno, gdy duch przeleciał obok niego. Ani się domyślał, że spotkał istotę tak ważną.

Wtem, bez żadnego uprzedzenia, znaleźli się na rozległym błotnistym pustkowiu, na którym stały tu i ówdzie ogromne głazy, jak gdyby to było cmentarzysko olbrzymów. Woda, nie mająca tutaj żadnego odpływu, zalałaby całą przestrzeń, gdyby mróz nie ujął jej w lodowe okowy. Oprócz mchu, paproci i twardej, ostrej trawy, nic więcej tu nie rośło. Na zachodzie nienacko słońce pozostawiło pas płonącej czerwieni, spoglądającej na to rozpaczliwe pustkowie, niby nabiegłe krwią oko rozjątrzonego tygrysa. Pas ten zapadał się coraz niżej i niżej, aż wreszcie całkiem pograżył się w ciemnościach nocy.

– Gdzie jesteście? – zapytał Scrooge.

– Tu mieszkają górnicy, pracujący głęboko pod ziemią – odrzekł duch. – Patrz! Poznali mnie. W oknie jakiejś nędznej lepianki błyszczało światło; szybko tam pomknęli.

Zastali wesołe towarzystwo siedzące dokoła wielkiego, jasno płonącego ogniska. Zgrzybiały starzec i jego sędziwa żona siedzieli w otoczeniu dzieci, wnuków i prawnuków, wszyscy w odświętnych szatach. Starzec śpiewał pieśń wigilijną głosem, który niekiedy tylko przygłuszał wycie wiatru. Była to bardzo stara pieśń, którą śpiewał jeszcze wówczas, kiedy był małym chłopcem. Od czasu do czasu wszyscy wtórowali mu. Za każdym razem, kiedy zabrzmiały ich głosy, starzec ożywiał się, a jego głos stawał się silniejszy; gdy zaś milkły, jego siły słabły.

Duch nie bawił tu długo. Poleciwszy Scrooge'owi, by trzymał się silnie jego opończy, uniósł go w powietrze.

Jak myślicie – dokąd go uniósł? Przecież nie na morze. A właśnie na morze!

Ku wielkiemu przerażeniu, Scrooge ujrzał znikającą za sobą ziemię, a w dole usłyszał głuchy pomruk pieniających się fal, z wściekłością uderzających o skaliste brzegi.

Na posępnej skale, do połowy zanurzonej w wodzie, w odległości mili od stałego lądu, stała samotna latarnia morska. Przez cały rok huczały dokoła niej fale. Ogromne połacie traw morskich osnuwały jej stopy, a mewy, jakby zrodzone z wiatru, unosiły się i opadały w powietrzu dokoła jej szczytu.

Dwaj latarnicy rozpalili wewnątrz ogień, który rzucał jasny snop promieni na wzburzoną powierzchnię morza przez otwór w grubym murze latarni.

Prości ludzie, którzy rozniecili ogień, wyciągnawszy zgrubiałe od ciężkiej pracy ręce przez stół, przy którym zasiedli, życzyli sobie wzajem wesołych świąt, trącając się kubkami gorącego grogu. Starszy z nich, o twarzy zniszczonej przez ustawiczne zmiany pogody, pooranej zmarszczkami,

podobnej do twarzy figur wyrzynanych ongiś na przodach okrętu, zaśpiewał ochryłym głosem pieśń wigilijną.

Duch znów uniósł Scrooge'a ponad czarne, piętrzące się morze, aż w końcu zatrzymali się na pokładzie jakiegoś okrętu. Najpierw stanęli przy sterniku, następnie przy strażniku, wreszcie przy oficerach na służbie. Wszystkie te surowe postacie pełniły swoje odpowiedzialne obowiązki i nuciły z cicha pieśń wigilijną bądź myślały o wielkim świecie; wreszcie opowiadały sobie wzajem wspomnienia dawnych świąt, spędzonych wśród rodziny, snując nadzieję rychłego powrotu do swoich.

Każdy marynarz znajdujący się na okręcie, czuwający czy śpiący, zły czy dobry, miał w tym dniu dla towarzyszy lepsze, cieplejsze słowo niż kiedykolwiek w roku. Każdy w mniejszym lub większym stopniu doznawał radosnego uczucia, myślał o tych, którzy w tej chwili myślą też o nim.

Scrooge przysłuchiwał się żalonym jękom wichru i rozmyślał, jaka to wspaniała rzecz posuwać się wśród nieprzejrzonej ciemności ukrywającej na swoim dnie wielkie tajemnice. Nagle ze zdumieniem usłyszał głośny śmiech. Zdumienie jego wzrosło, gdy poznał głos siostrzeńca i gdy nie wiadomo jakim sposobem znalazł się w jasnym, ciepłym i schludnym pokoju. Obok niego stał duch i z życzliwym uśmiechem spoglądał na jego siostrzeńca.

– Ha, ha, ha! – śmiał się wciąż siostrzeniec Scrooge'a. – Ha, ha, ha!

Gdybyś, szanowny Czytelniku, znał człowieka śmiejącego się serdeczniej i szczerzej, to i ja pragnąłbym go poznać.

Nie ma nic słuszniejszego i szlachetniejszego nad prawo równowagi, które sprawia, że o ile choroby i smutki udzielają się innym, to również radość i śmiech są zaraźliwe. Moc tego prawa można było właśnie tu zobaczyć. Gdy bowiem siostrzeniec Scrooge'a śmiał się na całe gardło, trzymając się za boki, żona jego śmiała się równie serdecznie, a i zebrani goście nie pozostawali w tyle. Wszyscy trzęśli się od śmiechu, a wraz z nimi zdawał się śmiać cały pokój:

– Ha, ha! Ha, ha! Ha, ha!

– Jak mnie tu żywym widzicie, powiedział, że wigilia to głupstwo! – wołał siostrzeniec Scrooge'a. – Tak powiedział i jestem przekonany, że rzeczywiście tak myśli.

– Tym gorzej dla niego, Fredziu – z oburzeniem zauważyła jego żona. Błogosławione niech będą kobiety: one nic nie czynią połowicznie i zawsze biorą rzeczy na serio.

Żona Freda była bardzo ładną kobietą. Miała milutką, naiwną twarzyczkę, z ponętymi dołkami na policzkach, prześliczne, jakby stworzone do pocałunków usta i najstoneczniejszą parę ocząt. W jej urodzie było coś zwracającego uwagę, ale w dobrym, szlachetnym znaczeniu.

– On jest po prostu starym dziwakiem – ciągnął siostrzeniec Scrooge'a. – Do tego nieznośnym. Mógłby być chociaż cokolwiek miłszy. Ale wady człowieka są zawsze karą dla niego samego. Jest to prawda niezbita i pamiętając o tym,

nie będę mu czynił wymówek.

– Zdaje się, Fredziu, że on jest bardzo bogaty – zauważyła żona. – Przynajmniej ty zawsze tak mówisz.

– I cóż z tego, moja droga? – odparł Fred. – Bogactwo jest dla niego bez pożytku; nie używa go na nic dobrego. Sam z niego nie korzysta i nie pomaga nikomu. Odmawia sobie nawet wszelkich wygód. Nigdy mi też na myśl nie przyszło prosić go o jakąkolwiek pomoc. Ha! ha! ha! Ale chyba i on nigdy nie pomyślał o tym, że my kiedyś, wcześniej czy później, odziedziczymy jego skarby...

– Nie cierpię go! – rzekła piękna kobieta, a wszyscy goście przyznali, że ma zupełną słuszność.

– Co do mnie, nie mam do niego żalu – odezwał się siostrzeniec. – Żal mi go, ale nie mógłbym gniewać się na niego, gdybym nawet chciał. Któż bowiem cierpi przez jego kaprysy? Tylko on sam. Uroiwszy sobie na przykład, że powinien nas nie lubić, nie chciał przyjąć naszego zaproszenia. I jakież tego rezultat? Uniknął niesmacznego obiadu!

– Tak sądzisz? A mnie się zdaje, że stracił doskonały obiad! – zawołała dotknięta w najczulsze miejsce kobieta.

Wszyscy przyłączyli się do jej zdania, a mogli być kompetentnymi sędziami, gdyż przed chwilą właśnie skończyli obiad.

– Tym lepiej – rzekł siostrzeniec Scrooge'a. – Bardzo mnie to cieszy, gdyż co do mnie, wyznam szczerze, nie mam wielkiego zaufania do talentów kulinarnych młodych gospodyń. Jak sądzisz, Topper?

Topper miał wyraźną słabość do jednej z sióstr żony Fredzla i zapewne dlatego odpowiedział, że będąc kawalerem, a więc niejako pariasem, nie ma prawa wydawać sądu w tym przedmiocie.

Usłyszawszy to, owa siostra żony siostrzeńca Scrooge'a, pulchna panienska w koronkowej narzutce, spaşowiała jak piwonia.

– Mów dalej, Fredziu – odezwała się żona siostrzeńca Scrooge'a, klaszcząc w dłonie. – Wypowiedz się, skończ, coś zaczął. On zawsze chowa wszystko pod korcem. Dziwny człowiek!

Fred w odpowiedzi znowu wybuchnął śmiechem, a ponieważ było fizycznym niepodobieństwem uniknąć tej „zarazy”, więc wszyscy bez wyjątku poszli za jego przykładem.

– Pozostaje mi tylko dodać – odezwał się Fred, gdy mu przeszedł paroksyzm śmiechu – że wuj, postąpiwszy z nami tak niegrzecznie i nieżyczliwie, sam się pozbawił pewnej dozy radości, która prawdopodobnie nie zaszkodziłaby mu. Jestem przekonany, że miałby tu towarzyszy miłszych od tych, jakich posiada we własnych myślach – przesiadując w starym, zatechłym kantorze czy w zakurzonych i pustych pokojach. Mam zamiar zapraszać go corocznie, bez względu na to, czy mu się to podoba czy nie, bo mi go żal. Może szydzić z wigilii Bożego Narodzenia do samej śmierci, ale zdaje mi się, że w końcu przekona się do niej, gdy będę chodził do niego co rok

i pytał życzliwie: – Wuju Scrooge, jak się miewasz? – Gdyby go to natchnęło myślą zapisania swemu pomocnikowi jakichś pięćdziesięciu funtów, byłbym szczerze zadowolony. Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że wczoraj wuja wzruszyłem.

Wszyscy zebrani zaczęli się śmiać z naiwności Freda. On sądził, że mógł wzruszyć Scrooge'a, jak gdyby tego starego kutwę mogło coś na świecie wzruszyć? Ale Fred miał przedziwny charakter. Mało go obchodziło, z czego się towarzystwo śmieje; jego cieszył ten dobry nastrój i aby go podtrzymać, otworzył nową butelkę wina.

Po herbacie zaczęła się muzyka, była to bowiem muzyczna rodzina. Wiedzieli, co robią, gdy zaśpiewali chórem. Szczególnie wyróżniał się Topper, który umiał mrużyć basem jak niedźwiedź, a nigdy nie zaczerwienił się przy tym ani nie zeszpecił twarzy nabrzmiałymi żyłami na czole.

Siostrzenica Scrooge'a grała wcale nieźle na harfie. Teraz, bez próbowania, uderzyła w struny i zagrała krótką, prostą melodię – tę, którą doskonale znała owa dziewczynka, która zabrała Scrooge'a ze szkoły...

Gdy ta melodia zabrzmiała, wszystko, co Scrooge'owi przypomniał duch dawnych Wigilii, stanęło mu teraz przed oczami. Myślał, że gdyby mógł słuchać częściej tej piosenki sprzed lat, stałby się lepszy, i to bez pomocy łopaty grabarza, która pogrzebała Jakuba Marleya.

Muzyka jednak nie zajęła całego wieczoru. Gdy już mieli jej dosyć, rozpoczęli zabawę w fanty. Bo dobrze jest czasem wrócić do dzieciństwa, zwłaszcza w dzień wigilijny, który jest przecież wielkim świętem dzieci.

Naprzód więc bawiono się w „ciuciubabkę”. Nie chce mi się wierzyć, żeby Topper naprawdę nic nie widział, mając przewiązane oczy; wszakże oczu w trzewikach nie nosił.

Moim zdaniem, była to rzecz ułożona pomiędzy nim i siostrzeńcem Scrooge'a; musiał też wiedzieć o tym duch wigilijny.

Sposób, w jaki Topper uganiał się za piękną panienką w białym szaliku, naruszał zasady gry. Przewracając krzesła, obijając się o fortepian, dusząc się pomiędzy firankami, był wszędzie tam, gdzie ona! Wiedział, gdzie ją dopadnie. Nie chwycił nikogo innego. Gdy ktoś wpadł na niego, udawał, że pragnie go chwycić, i szybko zbaczał w kierunku swej ofiary. Na próżno panna kilkakrotnie protestowała, wołając, że sprzeciwia się to zasadom gry, bo Topper w końcu ją złapał, zapędziwszy w róg pokoju, skąd nie było już wyjścia. Jego zachowanie było oburzające. Udawał, że jej nie poznaje, że musi koniecznie dotknąć jej uczesania, upewnić się przez dotknięcie jakiegoś pierścionka na jej palcu i łańcuszka na szyi; to było po prostu występne. Na pewno powiedziała mu o tym, gdy podczas dalszego ciągu zabawy, w której już nie brali udziału, siedzieli i rozmawiali poufnie za firankami.

Żona siostrzeńca Scrooge'a nie uczestniczyła w tej grze. Usiadła wygodnie w fotelu ze stołeczkiem pod nogami, w zacisznym kąciku, w którym tuż za nią stali duch i Scrooge. Przyłączyła się jednak do gry w fanty i okazała wiele

dowcipu.

Również w „sekretarzu” okazała niezwykłą bystrość umysłu i ku wielkiemu zadowoleniu siostrzeńca Scrooge’a pobiła na głowę swoje siostry, chociaż im także nie brakowało sprytu.

Towarzystwo składało się coś ze dwudziestu osób, młodych i starych, wszyscy bawili się wybornie. Nawet Scrooge tak się zainteresował zabawą, że zapomniałszy, iż głos jego nie może być słyszany, włączał się często do niej, odgadywał zagadki, zwykle trafnie, gdyż trzeba przyznać, że najostrzejsza, najsubtelniejsza igła nie mogła się porównać z inteligencją Scrooge’a. Wyglądał dobrodusznie, a nawet głupkowato, lecz sam sobie nadawał taki wygląd, ażeby łatwiej móc wyzyskiwać ludzi.

Duch był uradowany zmianą jego usposobienia i spoglądał na niego życzliwie; Scrooge prosił go pokornie, jak studencik, aby pozostali do końca zabawy. Ale duch odpowiedział, że nie może tego uczynić.

– Zaczęli właśnie nową grę – prosił Scrooge. – Tylko pół godziny jeszcze, duchu, nie więcej! Była to zabawa „Tak i nie”. Siostrzeniec Scrooge’a miał prawo o czymś pomyśleć, a reszta towarzystwa powinna była odgadnąć, co to jest; na wszystkie pytania mógł odpowiadać: „tak” albo „nie”. Pod krzyżowym ogniem pytań musiał się przyznać, że kolejno myślał o zwierzęciu, o żywym zwierzęciu, o niemiłym zwierzęciu, o dzikim zwierzęciu, które czasami mruczało, czasami mówiło, mieszkało w Londynie, chodziło po ulicach, nie było wystawione na widok publiczny. Nie było też przez nikogo wodzone, nie znajdowało się w menażerii, nie było zabijane w rzeźni, nie było koniem, osłem, krową, bykiem, tygrysem, psem, świnia, kotem czy wreszcie niedźwiedziem.

Przy każdej niewłaściwej odpowiedzi siostrzeniec wybuchał śmiechem, a nawet zrywał się z kanapy i skakał po pokoju. W końcu jego pulchna szwagierka, wpadłszy również w szal wesołości, zawołała:

– Już mam! Wiem, kto to! Wiem!

– Więc powiedz...

– To twój wujaszek, Scro-o-ge! Zgadła.

Wszyscy byli zachwyceni, chociaż ktoś słusznie zauważył, że na pytanie, czy to jest niedźwiedź, odpowiedź powinna była brzmieć: „tak”, ponieważ zaprzeczenie odwróciłoby myśli uczestników zabawy od Scrooge’a, jeśli istotnie o nim by myśleli.

– Sprawiedliwość przede wszystkim! – odezwał się siostrzeniec Scrooge’a.

– Bawimy się jego kosztem, więc byłoby niewdzięcznością nie wypić jego zdrowia. Dalej! Niech każdy weźmie szklanekę wina i... zdrowie wuja Scrooge’a!

– Zdrowie wuja Scrooge’a! – zawołali wszyscy.

– Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku staruszkowi, jakikolwiek on jest! – ciągnął Fred dalej. – Nie chciał przyjąć ode mnie życzeń, jednak je składam. Niech żyje wuj Scrooge!

Wujowi Scrooge zrobiło się tak wesoło i lekko na sercu, że chętnie

podziękowałby siostrzeńcowi i całemu towarzystwu, chociażby nieuchwytnym dla nich głosem, gdyby duch pozwolił. Lecz cała scena znikła mu z oczu z ostatnimi słowami siostrzeńca i znów ruszyli dalej.

Widzieli wiele ciekawych obrazów, zaszli daleko, odwiedzili wiele ognisk domowych, a wszędzie duch wnosił pogodę umysłu i szczerą radość.

Zatrzymywał się przy łóżach chorych ludzi, obdarzając ich zdrowiem; pocieszał wygnańców, którzy czuli się wtedy jakby w kraju rodzinnym; zrozpaczonym ciężką walką o byt ukazywał nadzieję lepszej przyszłości, godząc ich z losem; zbliżał się do nędzarzy, którzy zapominali wtedy o swoich cierpieniach.

W przytułku, szpitalu, więzieniu, w każdym schronisku nędzy i nieszczęścia, wszędzie zostawiał cząstkę swoich dobrodziejstw, dając w ten sposób Scrooge'owi przykład miłosierdzia.

Była to długa noc. Scrooge miał jednak co do tego wątpliwości. Zdawało mu się mianowicie, że w tym czasie, jaki spędza z duchem, było kilka świąt Bożego Narodzenia. Zauważył przy tym dziwną rzecz: w jego własnej powierzchowności nic się nie zmieniło, gdy tymczasem duch starzał się bardzo szybko. Scrooge ani jednym słowem nie napomykał o tym duchowi, dopóki nie spostrzegł, że włosy ducha zupełnie zbielały. Wtedy zapytał:

– Czy życie duchów jest tak krótkie?

– Moje życie na tym świecie jest bardzo krótkie – odrzekł duch – kończy się bowiem dzisiejszej nocy.

– Dzisiejszej nocy!... – powtórzył Scrooge.

– Tak, dziś o północy. Dlatego musimy się śpieszyć. Zegary na wieżach wydzwoniły właśnie w tej chwili trzy kwadransy na dwunastą.

– Wybacz mi zbyt śmiałe pytanie – rzekł Scrooge, patrząc uparcie na dolny brzeg opończy ducha – lecz spostrzegam pod twoją szatą coś dziwnego, co nie należy do ciebie. Czy to noga, czy łapa zwierzęcia?

– Prawdopodobnie łapa, gdyż obrasta ją ciało – brzmiała smutna odpowiedź ducha. – Patrz! Spod opończy wysunęło się dwoje dzieci, dwoje nędznych, przerażających istot. Uklękły one u stóp ducha, trzymając się silnie skraju jego szaty.

– Och, człowieku! Spójrz, przypatrz się im dobrze! – zawołał duch.

Był to chłopiec i dziewczyna. Żółte, chude, obdarte istoty czołgały się w pokorze po ziemi. Zamiast wdzięku dzieciństwa, który powinien był jaśnieć w ich twarzach i zdrowego rumieńca, wyschła ręka czasu pokryła ich lica zmarszczkami, usunęła z nich krew, napiętnowała strasznym zwyrodnieniem. Tam, gdzie powinien był znajdować się wyraz anielski – kryły się złe duchy, rzucając groźne spojrzenia. Nie można sobie wyobrazić bardziej przerażających potworów.

Scrooge, błydy jak płótno, odwrócił się, lecz obawiając się obrazić ducha, który może być ojcem tych istot, usiłował powiedzieć, że to są przedziwne dzieci; kłamstwo jednak byłoby zbyt rażące – wybełkotał zatem tylko:

– Czy to twoje dzieci?

– To są dzieci ludzkości! – odparł duch, spoglądając na nieszczęsne istoty z głębokim współczuciem. – Przychodzą one do mnie z błaganiami o obronę przed ich ojcami. To jest – dodał, wskazując na chłopca – Ciemnota, a dziewczynka nosi miano Nędza. Strzeż się obu jak ognia oraz tego wszystkiego, co od nich pochodzi, a przede wszystkim strzeż się chłopca, gdyż na jego czole wypisane jest straszne słowo: Zguba. Możesz się ich wyprzeć – ciągnął dalej duch, podnosząc głos i wyciągając rękę w kierunku miasta – możesz oburzać się na tych, co to mówią, możesz ich spotwarzać i potępiać: ale jeżeli nie postarasz się o usunięcie tych klęsk, biada ci!

– Czy nie ma ratunku dla tych stworzeń? – wyszeptał Scrooge.

– Tak – odparł duch z ironią, przypominając mu jego własne słowa – są przecież więzienia, są domy poprawcze!

Wybiła północ.

Scrooge szukał oczyma ducha, lecz nie mógł go dojrzeć.

Z ostatnim uderzeniem zegara przypomniał sobie zapowiedź Jakuba Marleya. Wtedy, podniósłszy oczy, spostrzegł nowego ducha. Miał on postawę majestatyczną, uroczystą, był przybrany w długi, do ziemi sięgający płaszcz z kapturem. Zbliżał się do Scrooge'a powoli, ociężale, jak tuman mgły.

Rozdział 4

Ostatnie spotkanie z duchem

Gdy widmo zbliżało się do Scrooge'a, on upadł przed nim na kolana. Przybysz wnosił ze sobą coś bardzo tajemniczego i groźnego.

Długi, czarny płaszcz, podobny do całunu, szczelnie spowijał całą postać ducha, nawet głowę i twarz, wystawała z niego tylko jedna wyciągnięta ręka. Gdyby nie ta ręka, trudno byłoby dojrzeć postać w nocnej ciemności.

Znalazłszy się tuż przy duchu, Scrooge zauważył jego niezwykły wzrost i poczuł, że ogarnia go niewypowiedziana trwoga. Tajemniczy przybysz wciąż milczał, stał w miejscu bez żadnego ruchu.

– Zdaje się, że mam przed sobą ducha przyszłych świąt Bożego Narodzenia? – wyszeptał nieśmiało Scrooge.

Duch nic nie odpowiedział, ale wciąż trzymał wyciągniętą rękę.

– Pokażesz mi rzeczy, które staną się dopiero w przyszłości? Czy nie tak? – zapytał Scrooge. Duch kiwnął potakująco głową. Taką tylko otrzymał odpowiedź.

Scrooge już przywykł do obcowania z duchami; jednak w obecności tego milczącego widma doznawał takiego strachu, że nogi się pod nim chwiały. Nie mógł więc podążać za duchem. Zauważywszy to, zjawa zatrzymała się, jakby chcąc mu dać przyjść do równowagi.

Zmieszało to Scrooge'a jeszcze bardziej.

Za każdym razem, gdy wyczuwał, że oczy widma przenikliwie wpatrują się w niego, przejmowała go groza i dreszcze niewypowiedzianej trwogi. Pomimo wysiłków, nie mógł nic rozróżnić pod tą czarną szatą; widział tylko wciąż wyciągniętą rękę widma i niewyraźne zarysy jego postaci.

– Duchu przyszłości – zawołał wreszcie – napełniasz mnie przerażeniem, jakiego nie doznawałem wobec twoich poprzedników. Ponieważ wierzę, iż pragniesz mego dobra i szczerze pragnę poprawić się, dziękuję ci już z góry z całego serca i gotów jestem wszędzie iść za tobą. Ale dlaczego nie przemawiasz do mnie?

Żadnej odpowiedzi. Ręka ducha wciąż była wyciągnięta wprost przed siebie.

– Prowadź mnie zatem – rzekł Scrooge. – Czas szybko ucieka, a wiem, że jest dla mnie bardzo drogi. Chodźmy.

Duch ruszył powoli, a Scrooge za nim; zdawało mu się, że cień ducha porywa go i podtrzymuje.

Nie można powiedzieć, że weszli do miasta – to raczej miasto, wyrósłszy jakby spod ziemi, otoczyło ich nagle szumem i gwarem. Od razu znaleźli się w samym sercu Londynu, na giełdzie, wśród tłumu kupców, spieszenie przechodzących tam i z powrotem, brzęczących pełnymi kieszeniami złota i srebra, zbierających się w niewielkie grupy w celu odbycia narad lub zawarcia

transakcji. Wszyscy oni byli bardzo zajęci; spoglądali na zegarki lub, zamyśleni, bawili się kosztownymi brelokami itp. Obraz ten Scrooge znał doskonale, widywał go bardzo często.

Duch zatrzymał się przy niewielkiej grupce ludzi. Scrooge zauważywszy, że jego ręka tę właśnie grupkę wskazuje, przybliżył się i usłyszał następującą rozmowę:

– Nie – mówił wysoki, tłusty jegomość, z dużym podbródkiem – wiem tylko tyle, że umarł.

– Kiedy? – zapytał inny.

– Podobno wczoraj w nocy.

– Jaki powód? Co mu się stało? – zagadnął trzeci, racząc się obficie tabaką ze srebrnej tabakiery. Sądziłem, że on już nigdy nie umrze.

Bóg raczy wiedzieć, co mu było - odparł pierwszy, ziewając przeciągle.

– Ciekawa rzecz, co zrobił z pieniędzmi? – zapytał jegomość z purpurową twarzą i naroślą tłuszczu na końcu nosa, przypominającą korale indyka.

– Nie wiem, doprawdy – odparł jegomość z dużym podbródkiem. – Może zapisał swoim wspólnikom... To wiem, że nie ja będę jego spadkobiercą.

Dowcip ten przyjęto wybuchem śmiechu.

– Zdaje mi się – ciągnął dalej jegomość z podbródkiem – że będzie miał marny pogrzeb. Jestem pewien, że wystrój kościoła i karawanu niedrogo będą kosztowały, bo nie znam nikogo, kto by chciał pójść za jego trumną. A gdybyśmy tak bez zaproszenia odprowadzili go do grobu?

– Jeżeli wyprawiają porządną stypę, to nie mam nic przeciwko temu – wtrącił jegomość w okularach. – Za takie poświęcenie coś się przecież należy.

Gromadka znów się roześmiała.

– Jak widzę, jestem najbardziej bezinteresowny – odezwał się jegomość z podbródkiem. – Nigdy nie chodzę na cmentarz i nie ubiegam się o stypy, ale jeżeli który z was wybierze się na ten pogrzeb, ja chętnie będę mu towarzyszyć. Prawdę mówiąc, poniekąd sympatyzowaliśmy ze sobą. Przy spotkaniu zawsze wymienialiśmy choć kilka słów. No, tymczasem do widzenia, moi panowie.

Gromadka rozeszła się i zniknęła w tłumie, a Scrooge, który poznał wszystkich rozmawiających, zwrócił oczy na ducha, jak gdyby oczekując wyjaśnienia tego, co usłyszał.

Zamiast odpowiedzi, duch pomknął na ulicę i palcem wskazał dwóch rozmawiających mężczyzn.

Scrooge znów nadstawił uszu, w nadziei, że teraz zagadka się rozwiąże.

Obu mężczyzn wskazanych przez ducha znał dobrze. Byli to bogaci i bardzo wpływowi giełdjarze. Scrooge usilnie zabiegał o pozyskanie ich szacunku i zaufania, oczywiście w znaczeniu czysto giełdowym.

– Witam pana – mówił jeden z nich – jak zdrowie?

– Niezgorzej – odparł zapytany – a pańskie?

– Dziękuję, dobrze. A starego kutwę powołano nareszcie do obrachunku.

– Słyszałem o tym. Ale nieznośne zimno dziś mamy...

– Przecież to właściwa pora... święta Bożego Narodzenia. Pan nie jeździ na łyżwach?

– Co mi po tym? Mam co innego na głowie. Do widzenia.

– Do widzenia.

Ani słowa więcej. Takie było ich przywitanie, rozmowa i pożegnanie.

Scrooge'a z początku dziwiło, że duch przywiązuje wagę do tak w gruncie rzeczy błażych rozmów, lecz przeczuwając, że czyni to nie bez celu, zaczął się nad nimi zastanawiać.

Było niemożliwe – rozmyślał – żeby rozmowy dotyczyły Jakuba Marleya, jego dawnego współnika, chociażby z tego tylko względu, że Marley umarł już dawno. Śmierć jego należała do przeszłości, a ten duch przecież miał związek jedynie z przyszłością.

Na razie Scrooge nie mógł w żaden sposób wymiarkować, o którym z jego znajomych rozmawiano. Nie wątpił jednak, że kogokolwiek dotyczyły te rozmowy, musiały zawierać naukę, mającą na celu jego dobro, a on powinien przyjąć ją z uwagą i wdzięcznością. Przyszedłszy do tego przekonania, postanowił uważnie przysłuchiwać się wszystkiemu, co mu w uszy wpadnie; przede wszystkim bacznie obserwować własną postać, jeśli się ona zjawi, przewidując, że jej zachowanie da mu klucz do rozwiązania dręczących go pytań. Zaczął więc szukać samego siebie.

Któż to zajął jego uprzywilejowane miejsce na giełdzie? Scrooge nie znał tego człowieka. Rozglądał się na wszystkie strony, ale nie mógł odnaleźć siebie, chociaż zegar giełdowy wskazywał godzinę, w której zwykle tu przebywał. Ta okoliczność nie zaniepokoiła go zbytnio, gdyż po odwiedzinach pierwszej zjawy postanowił w głębi duszy, że zmieni dotychczasowy sposób życia; przypuszczał więc, że jego nieobecność na giełdzie potwierdza, iż w postanowieniu swoim wytrwał.

Duch, wciąż posępny i nieruchomy, stał przy nim z wyciągniętą ręką. Ocknąwszy się z zamyślenia, Scrooge zauważył, że duch nie spuszcza z niego oczu; dreszcz przebiegł po nim od stóp do głowy.

Szybko opuścili gwarną część miasta i zapuścili się w jedną z oddalonych dzielnic, gdzie Scrooge nigdy nie zaglądał, wiedząc, że miała jak najgorszą opinię. Zobaczył ciemne, pełne błota ulice; domy zaś i sklepy były nędzne, mieszkańcy bosi, półnaczy, pijani, budzili obrzydzenie. Podwórza i korytarze nieprawdopodobnie wąskie, zagnojone, wydawały odór, dostrajały się do ludzi, od których tu się roiło. Była to dzielnica błota, nędzy i zbrodni.

W tej oto strasznej dzielnicy znajdował się nędzny sklepik, w którym sprzedawano stare żelastwo, gałgany, stare butelki, kości. Na podłodze, wewnątrz sklepu, piętrzyły się stosy zardzewiałych kluczy, gwoździ, łańcuchów, zawiasów, pilników, talerzy wag, odważników. Dziwne tajemnice, których zbadania nie każdy odważyłby się podjąć, ukrywały się pod stosami cuchnących łachmanów.

Przy piecu, skleconym niezdarnie z kawałków starych cegieł, w którym spalano szczątki zgniłego drzewa, siedział wśród swoich towarów siedemdziesięcioletni człowiek. Od ulicznego chłodu zasłonił się kotarą z gałganów, które rozwiesił na sznurku. Palił fajkę. Scrooge i duch zjawili się przy nim w chwili, kiedy do sklepu weszła kobieta dźwigająca ciężki tłumok. Tuż za nią, także z tłumokiem, weszła druga, potem mężczyzna, w czarnym, mocno spłowiałym ubraniu. Wszyscy troje niezmiernie się zdziwili, poznavszy się nawzajem.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie owa trójka wybuchnęła głośnym śmiechem.

– To dopiero zdarzenie! – zawołała pierwsza kobieta. – Musi być porządek. Najpierw posługaczka, potem praczka, a w końcu przedsiębiorca pogrzebowy. No, patrz, Joe! Zeszliśmy się tu jak umówieni. Nieprawdaż?

– W każdym razie nie mogliście wybrać lepszego miejsca na schadzkę – rzekł Joe, wyjmując z ust fajkę. – Chodźcie do salonu. Przecież znamy się wszyscy. Zaczekajcie, zamknę drzwi. Do licha! ale skrzypią... Sądzę, że w całym moim składzie nie można by znaleźć równie zardzewiałych i skrzypiących zawiasów jak te, i równie starych kości jak moje. Tak, tak. Wszystko jest dobrane, odpowiada swemu miejscu i przeznaczeniu. Ale chodźcie do salonu.

Pomieszczenie nazwane „salonem” było częścią sklepu, oddzieloną od niego czymś w rodzaju złachmanionego parawanu.

Stary poprawił płonący ogień kawałkiem żelaza, który niegdyś stanowił część ozdobnej poręczy schodów, usunął kopeć z lampy – był bowiem wieczór – cybuchem swej fajki, którą znów wsunął w usta.

W tym czasie kobieta, która weszła pierwsza, rzuciła na podłogę swój tłumok, usiadła w swobodnej pozie na stołku i splótłszy dłonie na kolanie spoglądała na dwójkę towarzyszy.

– Więc cóż? Przecież wszystko w porządku, moja pani Wilber? – odezwała się po chwili. – Jestem zdania, że każdy człowiek powinien myśleć o sobie. On przez całe życie tylko tym się zajmował.

– Święta prawda! – odparła praczka. – Nikt na świecie nie dbał tak o siebie, jak on. Nikt na świecie.

– Dlaczegoż więc ma pani takie wystraszone oczy, jakby się czegoś bała? Powiadam, że wszystko w porządku i koniec. Wilki przecież nie rzucają się na siebie, a kruk krukowi oka nie wykole. Byłoby głupio, gdybyśmy mieli przeszkadzać sobie nawzajem w interesach.

– Zapewne! – potaknęła pani Wilber.

– W takim razie wszystko w porządku – prawiała posługaczka. – Nie wracajmy do dnia wczorajszego, to do niczego nie doprowadzi. Zresztą, czego się obawiać? Trochę drobiazgów nikogo nie zuboży, a nieboszczyk się o nie nie upomni...

– Zapewne! Zapewne! – znów potwierdziła pani Wilber.

– Gdyby ten podły kutwa chciał uchronić swoje rzeczy od zmarnowania – mówiła posługaczka – mógł uczynić to łatwo, postępując jak wszyscy uczciwi ludzie. Dlaczegoż nie postarał się, żeby w chwili śmierci była przy nim jakaś dobra dusza. Nie chciał tego, nie postarał się, więc zginął marnie w kącie, gorzej niż pies.

– Święta prawda! – potwierdziła pani Wilber. – Co posiał, to i zebrał.

– Jeszcze więcej bym o nim powiedziała, gdybym nie miała głowy zajętej czym innym – tym, z czym tu przyszłam. No, Joe, rozwiąż tłumok, powiedz, co to warte. Nie obawiam się zacząć pierwsza... Owszem, niech oni wiedzą, co tu jest. Grzechu w tym nie ma. No, Joe, rozwiąż tłumok.

Teraz nastąpiły prawdziwie chińskie ceremonie: jej towarzysze pragnęli okazać, iż są dobrze wychowani. W końcu przedsiębiorca pogrzebowy zdecydował się pierwszy przedstawić swoje łupy.

Nie były one znaczące: kilka pieczętek, ołówek w futerale, para spinek, tania szpilka do spinania szala. I to było wszystko.

Joe każdy przedmiot skrupulatnie badał, nawet obwąchiwał, kredą kreślił na ścianie cenę, a widząc, że już nic więcej nie ma, zsumował nakreślone liczby.

– Tyle wynosi twój rachunek, kochany przyjacielu – rzekł do przedsiębiorcy pogrzebowego. – Nie dam ani pensa więcej, choćby mnie smażono na wolnym ogniu. Co dalej?

Przyszła kolej na panią Wilber.

W jej tłumoku znajdowały się prześcieradła, serwety i trochę ubrania; dalej staroświeckie, srebrne łyżeczki do herbaty, szczypcy do cukru i trochę obuwia.

Jej rachunek również został zapisany na ścianie.

– Zawsze mam względy dla dam i dlatego więcej im płacę. Ta słabość doprowadzi mnie do ruiny – wyrzekł stary Joe. – Twój rachunek, pani Wilber. Jeżeli zażadasz choć o jednego pensa więcej, to gotów jestem cofnąć moją hojność.

– A teraz, Joe – zajrzyj do mojego tłumoka – rzekła posługaczka. Joe ukląkł na ziemi i, rozmotawszy nieskończoną liczbę suptów, wydobył ogromny zwój ciemnej materii.

– Co to takiego? – mruknął pod nosem – kotary od łóżka?

– Zgadza się – odparła, śmiejąc się, posługaczka.

– Czyżbyś, kochana przyjaciółko, ściągnęła firanki, kółka, chwasty, słowem – całe urządzenie, wtedy kiedy jeszcze leżał na łóżku? – zapytał Joe.

– Zgadłeś – odparła posługaczka. – Czyżby to nie była odpowiednia pora na to?

– W tej sprawie muszę ci oddać sprawiedliwość, droga przyjaciółko – rzekł Joe. – Urodziłaś się w czepku i jesteś na drodze do zrobienia majątku.

– Zapewniam cię, ojcze Joe – rzekła poważnie posługaczka – że wobec takiego człowieka wszelkie skrupuły byłyby śmieszne. Tak jest, uważałabym

się za naiwną, gdybym nie skorzystała z takiej okazji i niczego sobie nie wzięła. Ostrożnie z lampą, Joe – dodała – zatłuszcisz kołdrę oliwą.

– To jego kołdra? – zapytał Joe.

– A czyja? Nie zaziębi się przecież bez niej i nie dostanie kataru.

– Nie o to chodzi – przerwał Joe. – Obawiam się, czy nie umarł na jakąś zaraźliwą chorobę...

– Bądź spokojny, ojczu Joe – zapewniła go posługaczka. – Nie byłam tak spragniona jego towarzystwa, żebym się miała narazić na niebezpieczeństwo. Nie kręciłabym się przy nim, gdyby go toczyła jakaś zaraza. Miłe mi jeszcze życie. Przypatrz się tej koszuli, ojczu Joe. Zaręczam, że możesz wypatrzyć oczy, a nie znajdziesz ani jednej dziurki, nawet śladu przetarcia. To najlepsza koszula, jaką nieboszczyk posiadał. Szczęście, że tam byłam, bo inaczej zmarnowałiby ją.

– W jaki sposób? – zapytał zaciekawiony Joe.

– Włożyliby ją na nieboszczyka i pochowałiby go w niej – odparła śmiejąc się posługaczka. – Znalazł się nawet jakiś głupiec, co ją już włożył na trupa. Spostrzegłam to w samą porę i zdjęłam z niego tę piękną sztukę białego płótna. W perkalu pójść do grobu nie łaska? Sądzę, że perkal jest najstosowniejszy dla nieboszczyków, a szczególnie dla tego starego sknery.

Scrooge z przerażeniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Ludzie ci, siedzący ciasno, jedno przy drugim, wokół zdobyczy, sprawiali wrażenie drapieżnych zwierząt, budzili w nim taki wstręt, jak bezwstydnym demonom prowadzącym targ o świeżego trupa.

– Ha! ha! ha! – rozprawiała w dalszym ciągu posługaczka, zaśmiewając się, podczas gdy Joe wydobywszy z ukrycia flanelowy worek z pieniędzmi, odliczał każdemu z trójki przypadającą należność – to była jedyna dobra rzecz, na jaką zdobył się w całym swoim życiu. Zawsze wszystkich odtrącał od siebie, pewnie po to, żebyśmy mogli pożywić się trochę po jego śmierci. Ha! ha! ha!

– Duchu – szepnął Scrooge, drżąc jak w febrze. – Zrozumiałem, wszystko zrozumiałem. Los tego nieszczęśnika może być moim losem. Do takiego końca prowadzi życie jakie pędzę... Boże miłosierny, co ja widzę?!

Po tym okrzyku, cofnął się przerażony.

Obraz zmienił się nagle i Scrooge znalazł się tuż przy łóżku bez kotar, na którym pod brudnym prześcieradłem ktoś leżał. W straszny sposób wyjaśniało się wszystko, co przed chwilą widział i słyszał.

Pokój był ciemny, tak ciemny, że nie można było dokładnie widzieć, co się w nim znajduje, chociaż Scrooge, poruszony jakimś wewnętrznym nakazem, uważnie rozglądał się na wszystkie strony. Słabe światło, przedostające się z zewnątrz padało prosto na łóżko, gdzie leżał trup ograbionego, opuszczonego przez wszystkich człowieka.

Scrooge spojrzął na ducha; jego ręka wskazywała głowę trupa. Ciało było tak niedbale okryte, że wystarczyło jedno dotknięcie, aby ją odsłonić. Scrooge chciał to uczynić, pragnął zobaczyć twarz nieboszczyka, ale brakło mu sił.

„O zimna, straszna śmierci! Możesz tu sobie wznieść tron i otoczyć go wszystkimi okropnościami, jakimi rozporządzasz, gdyż to jest twoje królestwo... Lecz nie jesteś w stanie skazić jednego włosa na głowie miłowanej; nie możesz skazić ani jednego rysu szlachetnej twarzy. Cóż z tego, że ręka takiego człowieka stężeje i bezwładna opadnie? Co z tego, że jego krew stężeje a serce przestanie bić? Ta ręka była otwarta, hojna i dobroczynna; to serce czuło i kochało gorąco.”

Nikt tych słów nie wymówił, a jednak Scrooge dokładnie je słyszał, gdy patrzył na leżącego na łóżku nieboszczyka.

– Gdyby ten człowiek ożył – myślał Scrooge – gdyby mógł rozpocząć nowe życie, co by powiedział o swojej przeszłości? Skąpstwo, chciwość, pragnienie wzbogacenia się... wszystko to sprawiło tak straszny koniec!

Zastygły trup leży pod złachmanionym prześcieradłem, opuszczony w ponurym i pustym domu, i nie ma na świecie człowieka, który by powiedział: „On wyświadczył mi kiedyś przysługę, powiedział mi dobre słowo, kiedy potrzebowałem pociechy, teraz odwdzięczę mu się za to.”

Kot tylko drapał do drzwi i gdzieś pod podłogą głośno harcowały myszy. Dlaczego mącą ciszę? Scrooge nie śmiał roztrząsać tych pytań.

– Duchu – rzekł w końcu – to straszne miejsce. Nigdy nie zapomnę nauki, jaką tu otrzymałem. Chodźmy stąd!

Lecz duch wciąż wskazywał mu ręką głowę trupa.

– Wiem, duchu, czego żądasz ode mnie – szepnął Scrooge – lecz nie mogę tego spełnić, brak mi sił! Zdawało się, że duch bacznie przyjrzał mu się spod kaptura.

– O, duchu! – zawołał Scrooge – jeżeli istnieje chociaż jeden człowiek, którego śmierć tego nieszczęśnika zmartwiła, pokaż mi go, błagam cię!

Duch rozpostarł nad nim całun, jakby skrzydła, po czym opuścił go, i w chwilę potem Scrooge ujrzał jasny, słoneczny pokój, a w nim matkę z dziećmi.

Matka oczekiwała kogoś z wielkim niepokojem; chodziła od okna do okna, wzdrygała się przy najmniejszym szeleście, wyglądała na ulicę, spoglądała na zegar ścienny. Na próżno próbowała zająć się robotą i z wyraźnym zniecierpliwieniem zносиła krzyki rozbawionych dzieci.

Wreszcie usłyszała oczekiwane stuknięcie w drzwi. Podbiegła, by je otworzyć.

Był to jej mąż, człowiek jeszcze młody, lecz już znużony i sterany ciężkim życiem. Jego twarz miała w tej chwili dziwny wyraz: malowała się na niej radość, której jakby się wstydził i chciał ją ukryć.

Zasiedli do stołu, aby spożyć obiad, przygrzewany na piecu. Żona zapytała nieśmiało:

– No i jakie nowiny?

On milczał, wyraźnie zwlekał z odpowiedzią.

– Dobrze, czy źle? – delikatnie ponaglała żona.

- Złe – odparł.
- Więc jesteśmy zrujnowani?
- Nie, Karolino, jest jeszcze nadzieja.
- Czy on poczeka? – spytała ona. – Byłby to prawdziwy cud, ale po nim czegoś takiego spodziewać się nie można.
- On już nic nie może zrobić. Umarł.

Żona była dobrą, zacną kobietą; wystarczyło spojrzeć na nią, żeby się o tym przekonać. Po tym, co usłyszała od męża, poczuła taką ulgę, że podziękowała za nią Bogu, chociaż zaraz ogarnął ją żal i wstyd, że się poddała takiemu egoizmowi. W każdym razie jej pierwsze wrażenie było radosne.

- Więc – rzekła do męża – owa na pół pijana baba, o której wspomniałam ci wczoraj, powiedziała mi prawdę, kiedy usiłowałam dostać się do niego, żeby wyprosić chociaż tydzień zwłoki. On naprawdę umarł. Zdawało mi się, że umyślnie skłamała, aby mnie się pozbyć.

- Jak myślisz? – zapytał mąż. – Kto teraz przejmie nasz dług?

- Nie wiem. W każdym razie, zanim ureguluje się sprawa spadku, znajdziemy potrzebne pieniądze. Musiałby nas prześladować szczególny pech, gdyby jego spadkobierca okazał się równie nieludzki. Na razie możemy spać spokojnie.

Wielki ciężar jakby spadł im z serca. Nawet twarzyczki dzieci, przysłuchujących się rozmowie rodziców, której przecież dokładnie nie rozumiały, zajaśniały radością. Śmierć tego człowieka wniosła odrobinę szczęścia do biednego domu.

- Duchu – odezwał się Scrooge – pokaż mi śmierć, której towarzyszy miłość i żal. Inaczej ów straszny pokój, któryśmy niedawno opuścili, wciąż będzie mnie prześladował.

Duch powiódł go przez kilka dobrze mu znanych ulic. W drodze Scrooge rozglądał się na wszystkie strony, w nadziei, że zobaczy swą postać, ale daremnie.

Weszli do domu biednego Boba Cratchita, do tego samego mieszkania, które Scrooge niedawno odwiedził. Zastali tam matkę z dziećmi.

W pokoju panowała cisza. Zwykle swawolne maluchy, braciszek i siostra, siedziały teraz cichutko w kącie pokoju i nie spuszczały oczu z Piotra, pochylonego nad otwartą książką. Matka i starsza córka szyły.

„On zaś wziął dziecko i postawił wśród nich”.

Kto wypowiedział te słowa? Przecież to nie sen, Scrooge słyszał je wyraźnie? Widocznie Piotr je odczytał głośno w chwili, gdy duch ze Scrooge’em przestępowali próg pokoju. Dlaczego chłopiec tak nagle przerwał czytanie?

Matka położyła robotę na stole i zakryła twarz dłońmi.

- Oczy mnie bolą od koloru tej tkaniny... – szepnęła. Od koloru tkaniny? O, biedny, maleńki Tim!...

- Już mi lepiej – rzekła po chwili. – Prawdopodobnie szycie przy świetle męczy moje oczy, ale nie chcę, żeby ojciec to zauważył. Zapewne niedługo

wróci. Powinien już być w domu.

– To prawda – potwierdził Piotr, zamykając książkę. – Czy zauważyłaś, mammo, że ojciec teraz chodzi znacznie wolniej niż dawniej?

Zapanowała przykra cisza. Wreszcie matka spokojnie, głosem, który raz tylko zadrżał, powiedziała:

– Pamiętam, jak chodził szybko, nawet bardzo szybko z... maleńkim Timem na plecach...

– Ja także - szepnął Piotr. Wszyscy kolejno powtórzyli:

– I ja także.

– Bo przecież Tim nie był ciężki – mówiła dalej matka, pochylając się nad robotą. – Przy tym tak bardzo go kochał, że nawet nie czuł jego ciężaru. Zdaje się, że ojciec wraca...

Pani Cratchit poderwała się i szybko pobiegła na spotkanie męża. Bob wszedł do pokoju. Szyję miał owiniętą wełnianym szalikiem, a bardzo go ten biedak potrzebował. Herbata już grzała się dla niego, a dwoje najmłodszych dzieci od razu wdrapało się na kolana ojca i przytuliły twarzyczki do jego twarzy, jak gdyby chciały powiedzieć:

– Nie myśl już o tym, tatusiu! Nie martw się!...

Bob wesoło bawił się z nimi, dla każdego zresztą miał dobre słowo. Spostrzegłszy rozłożoną na stole robotę, chwalił pracowitość i zręczność żony i córek.

– Skończycie to przed niedzielą – zauważył. – Dzielne z was robotnice.

– Niedziela? – powtórzyła żona. – Więc dziś tam byłeś, Robercie?

– Tak, moja droga – odpowiedział Bob. – Bardzo żałowałem, że nie poszłaś ze mną. Jak tam się wszystko zieleni. Ale ty często tam chodzisz, więc wiesz, jak tam jest pięknie. Ja przyrzekłem sobie, że będę go odwiedzać w każdą niedzielę... Moje maleństwo!

Po tych słowach Bob się rozplakał. Tak kochał małego Tima, że na jego wspomnienie nie mógł się powstrzymać od łez.

Wstał i poszedł do pokoju na górze, oświetlonego i przyozdobionego zielenią, jak na dzień wigilijny. Przy łóżeczku dziecka stało krzeselko i można było wyczuć, że jeszcze niedawno ktoś na nim siedział. Teraz Bob tam usiadł i oddał się bolesnym myślom. Kiedy się uspokoił, ucałował łóżeczko, a jego twarz przybrała spokojny wyraz – człowieka pogodzonego z ciężkim ciosem. Wrócił na dół już w innym nastroju.

Teraz wszyscy usiedli wokół kominka i zaczęli gwarzyć. Matka i córki wciąż pracowały. Bob z ożywieniem opowiadał o szczególnej życzliwości jaką mu okazał siostrzeniec Scrooge'a, którego spotkał na ulicy. Widział go tylko raz jeden, i to przelotnie, tymczasem dziś, gdy się spotkali, siostrzeniec Scrooge'a przywitał go serdecznie i zapytał, czy nie spotkało go coś złego...

– Oczywiście – mówił Bob – nie mogłem tego ukryć przed nim. To miły, dobry człowiek. Czy uwierzysz, droga żono, że bardzo się tym przejął. Powiedział mi: „Szczерze panu współczuję, panie Cratchit, i proszę przekazać

moje serdeczne ubolewanie zacnej małżonce”. Nawiasem mówiąc, nie pojmuję, skąd on wie o tym?

– O czym, mój drogi?

– Że jesteś zacna i dobra.

– Wszyscy o tym wiedzą! – zawołał Piotr.

– Dobrze powiedziane, mój chłopcze – pochwalił go ojciec. – Mam nadzieję, że tak jest naprawdę. „Szczerze wam obojgu współczuję, moi państwo” – powtórzył siostrzeniec Scrooge’a i wręczając mi swój bilet, nadmienił: „Oto mój bilet. Może będę mógł być panu w czymkolwiek pomocny, proszę zwrócić się do mnie z całą otwartością”. Byłem wprost oczarowany, nie tyle jego propozycją i nie myślą o tym, że może nam istotnie dopomóc, lecz jego uprzejmością. Bardzo mnie tym ujął. Mógłby kto pomyśleć, że znał Tima i żałuje go na równi z nami.

– Jestem pewna, że ma dobre serce – rzekła pani Cratchit.

– Byłabyś jeszcze bardziej przekonana, gdybyś go widziała i rozmawiała z nim – podchwycił Bob. – Wcale bym się nie dziwił – uważajcie, co powiem! – gdyby pomógł Piotrowi znaleźć lepszą pracę.

– Słyszysz, Piotrze? – rzekła pani Cratchit.

– A wtedy – zawołała jedna z dziewcząt – Piotr się ożeni i zamieszka u siebie!

– Co ty wygadujesz... – mruknął Piotr niby z oburzeniem, ale po jego oczach widać było, że uśmiecha mu się ta myśl.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – rzekł Bob – chociaż, prawdę mówiąc, masz jeszcze na to dosyć czasu, mój drogi. Lecz jeżeli kiedykolwiek przyjdzie nam się rozstać z sobą, jestem przekonany, że żaden z nas nie zapomni małego Tima. Prawda, że wszyscy będziemy zawsze pamiętali to pierwsze rozstanie?

– Zawsze, ojczu! – odpowiedzieli wszyscy.

– Wiem o tym, moi drodzy – ciągnął Bob – jak również i o tym, że przez pamięć o nim, jaki był dobry, kochający, cierpliwy i łagodny, chociaż tak mały, nigdy żadna waśń nas nie poróżni.

– Z pewnością, ojczu! – znów odpowiedzieli wszyscy.

– Dziękuję wam – rzekł Bob. – Jestem bardzo szczęśliwy! Pani Cratchit ucałowała go, potem, kolejno, ucałowały go dzieci, wreszcie uścisnął jego rękę Piotr.

Nad tą zacną rodziną unosił się, jak błogosławieństwo Boże, duch maleńkiego Tima.

– Duchu – odezwał się Scrooge – coś mi mówi, że chwila naszego rozstania zbliża się. Czuję to, chociaż nie wiem, jak się to odbędzie. Powiedz mi teraz, kim był ten człowiek, którego widzieliśmy na śmiertelnym łożu?

Duch Wigilii przyszłości poprowadził go w taki sam sposób, jak wcześniej prowadził do dzielnicy giełdowej. Teraz posuwał się bardzo szybko, nie zatrzymując się nigdzie. Ten pośpiech niepokoił Scrooge’a. Zaczął prosić, aby

się chociaż na chwilę zatrzymał.

– Na tej ulicy – tłumaczył się – przez którą tak pędzimy, znajduje się mój kantor. Tu ogniskują się wszystkie moje interesy. Oto dom, w którym jest mój kantor. Pozwól mi zobaczyć, co się tam będzie działo w przyszłości.

Duch zatrzymał się, lecz wskazywał ręką w inną stronę.

– Przecież mój dom jest tutaj? – zauważył Scrooge. – Dlaczego wskazujesz inne miejsce i chcesz mnie tam prowadzić?

Nieubłagany duch wciąż trzymał wyciągniętą rękę wskazującą inny kierunek.

Scrooge jednak pobiegł do okna swego kantoru i chciwie przylgnął do szyby. W lokalu i teraz był kantor, ale już nie jego. Zmieniło się umeblowanie, a na miejscu szefa siedział ktoś nieznany. Ręka ducha wciąż nie zmieniała kierunku.

Scrooge wrócił do zjawy i posłusznie udał się za nią, starając się rozwiązać w myśli pytanie:

dlaczego nie zobaczył siebie w kantorze i co się mogło z nim stać?

Nagle zatrzymali się przed żelaznymi sztachetami, wśród których znajdowała się wielka brama. Scrooge uważnie rozejrzał się wokoło, chciał bowiem ustalić, gdzie się znajdują.

Byli na cmentarzu.

Tu, pod ziemią, na głębokości kilku łokci, leżał ten nieszczęsny człowiek, którego nazwisko miał niebawem poznać.

Cmentarz otaczało nieskończone mnóstwo ścian domów, a cała jego powierzchnia zarośnięta była trawami i chwastami – roślinami śmierci, a nie życia.

Duch, stojąc wśród mogił, wskazywał na jedną z nich. Scrooge, drżąc cały, zbliżył się do niej.

Duch pozornie wcale się nie zmienił, lecz Scrooge'owi zdawało się, iż w jego ponurej, majestatycznej postaci spostrzega coś nowego, co go do głębi poruszało...

– Zanim zbliżę się do grobowca, który mi wskazujesz – rzekł – odpowiedz mi na jedno jedyne pytanie. Chcę mianowicie wiedzieć, czy to, co widzę, jest obrazem tego, co musi się spełnić, czy też tego, co może nastąpić?

Zamiast odpowiedzi, duch dotknął ręką mogiły, przy której stali.

– Zapewne – mówił Scrooge dalej – człowiek w życiu musi iść tą drogą, jaką sam obrał i dojść do pewnych, odpowiadających jej, rezultatów. Ale jeżeli człowiek opuści dawną swoją drogę i skieruje się na inną, to przecież osiągnie też i inny rezultat. Powiedz, czy takie znaczenie mają obrazy, jakie mi pokazałeś? Duch wciąż stał nieruchomy, wskazując grobowiec. Scrooge, drżąc całym ciałem ze strachu, niemal pełznąco, przysunął się do grobowca i przeczytał na nim swoje własne nazwisko:

EBENEZER SCROOGE

– Więc to samego siebie widziałem?! – zawołał, padając na kolana. Teraz palec ducha przesuwiał się, raz po raz, od jego osoby do mogiły.

– Nie, duchu! O, nie! – zawołał Scrooge. Duch wciąż powtarzał ten sam ruch ręką.

– Duchu! – krzyknął Scrooge, chwytając płaszcz widma. – Wysłuchaj mnie... Ja już nie jestem tym człowiekiem, jakim byłem do chwili spotkania się z tobą... Nie jestem i nie będę przenigdy... Dlaczego pokazałeś mi tak straszne rzeczy? Czy dla mnie nie ma już ratunku?

Ręka ducha po raz pierwszy zadrżała.

– O, dobry duchu! – błagał Scrooge, leżąc u stóp widma z twarzą zwróconą do ziemi. – Zmiłuj się nade mną, ratuj mnie! Powiedz, że jeżeli zmienię życie, to zmienię też obrazy, jakie mi pokazałeś...

Ręka widma poruszyła się, jakby przytakująco.

– Odtąd z całej duszy będę czcił święta Bożego Narodzenia – przyrzekał ze skruchą Scrooge – i przez cały rok będę na nie z radością czekał. Będę też pamiętał o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wszystkie trzy duchy, które mnie odwiedziły, żyć będą we mnie. O, duchu, powiedz, że mogę zetrzeć napis z tego grobowca...

Z rozpaczą chwycił dłoń ducha.

Ten usiłował ją wydrzeć, ale Scrooge trzymał z całej siły. Duch jednak był silniejszy od niego i uwolnił rękę.

Scrooge jeszcze raz wznosił dłonie, aby znów błagać o zmianę swego losu. Nagle zobaczył, że płaszcz i kaptur widma zmniejszają się, kurczą, aż wreszcie całe zjawisko przemieniło się w poręcz jego własnego łóżka...

Rozdział 5

Koniec historii

Tak, to była rzeczywiście poręcz jego własnego łóżka. Jeszcze więcej ucieszyło go przekonanie, że ma jeszcze tyle czasu, iż wystarczy go na gruntowne zreformowanie swego życia.

– Będę żył, pamiętając o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości! – przyrzekał sobie wstając.

– Duchy trzech czasów pokonały mnie zupełnie. O, Jakubie Marley! Cześć i błogosławieństwo Niebiosom i wigilii Bożego Narodzenia za ich dobrodziejstwo! Składam im dzięki na kolanach, stary Jakubie Marley; tak jest, na kolanach!

Był tak podniecony i ożywiony dobrymi zamiarami, że jego słaby, drżący głos nie odpowiadał sile przepełniających go uczuć. Łkał gwałtownie, a twarz jego zlewały strumienie łez.

– Są na swoim miejscu! – zawołał, całując kotary łóżka. – Nikt ich nie zerwał, nikt nie naruszył ich pierścieni. Jestem tutaj, a obrazy tego, co się zdarzyć mogło, mogą jeszcze być rozwiane. Wiem, że one znikną, jestem o tym przekonany.

Jego drżące ze wzruszenia ręce nie mogły sobie poradzić z ubraniem; wdziewał rzeczy na lewą stronę, szarpał je, upuszczał, słowem – wyprawiał z nimi istne awantury.

– Nie pojmuję doprawdy, co się ze mną dzieje! – mówił, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, przy czym wdziewał skarpetki na ręce, stając się podobnym do statui Laokoona opasanego węzami. – Jestem lekki jak piórko; szczęśliwy jak anioł; wesoły jak student; oszołomiony jak pijak! Życzę wszystkim, całemu światu, wesołych świąt i pomyślnego Nowego Roku! Wiwat!

W podskokach pobiegł do pokoju bawialnego i tam przystanął zadyszany.

– Wszystko w porządku! – wołał, rozglądając się dokoła. – Oto rondel, w którym odgrzewałem swój kleik! A to drzwi, przez które wszedł duch Marleya! Oto miejsce, gdzie siedział duch świąt dzisiejszych! Okno, z którego patrzyłem na błędzące w powietrzu duchy! Wszystko w porządku! Wszystko na swoim miejscu! To się naprawdę działo! Ha! ha! ha!

U człowieka, który przez tyle lat nie wiedział, co to śmiech – teraz brzmiał on dziwnie... Był to jakby początek radosnego uśmiechu przyszłości.

– Nie wiem, którego dziś mamy – mówił sam do siebie Scrooge – nie wiem też, jak długo przebywałem z duchami. Jestem jak nowo narodzone dziecko. Mniejsza z tym. Właściwie pragnę być dzieckiem. Wiwat!...

Jego okrzyki przytłumiły dzwony kościelne, które wydobywały z siebie wyjątkowo radosne dźwięki.

– Diń, diń, don, bum! Diń, diń, don, bum! Ding, dong! Ding, dong! Cudownie! Wspaniale! Zachwycająco! Pobiegł do okna, otworzył je i wychylił

się. Ani mgły, ani wilgoci.

Jasny, pogodny, mroźny dzień, jeden z tych, które orzeźwiają i rozweselają duszę, pobudzając krew do szybszego krążenia. Wspaniale!

– Co to dziś mamy za dzień? – zapytał przez okno małego chłopca w odświętnym ubraniu, który zatrzymał się przed oknem, bo może chciał się Scrooge'owi przypatrzeć.

– Co? – mruknął zdziwiony chłopiec.

– Pytam, jaki dzień dziś mamy, mój chłopcze – powtórzył Scrooge.

– Dzisiaj? Oczywiście Boże Narodzenie.

– Boże Narodzenie? – szepnął Scrooge. – Więc go nie straciłem. Duchy dokonały wszystkiego w ciągu jednej nocy. Pewnie mogą one robić wszystko, co im się żywnie podoba. Kto by w to śmiał wątpić. Hej! Podejdź tu bliżej, miły chłopcze!

– Czego pan sobie życzy?

– Czy wiesz, gdzie jest sklep z drobiem? Z bitym drobiem? O tam, na rogu drugiej ulicy.

– Wiem. Znam doskonale ten sklep.

– Mądry chłopak! – szepnął do siebie Scrooge. – Bardzo roztropny chłopak. A głośno dodał:

– Nie wiesz przypadkiem, czy nie sprzedali tego wielkiego indyka, który wczoraj wieczorem jeszcze wisiał w oknie wystawy?

– Aha, tego, jak nie przymierzając, ja cały?

– Dowcipny chłopak! – zachwycił się Scrooge. – Prawdziwa przyjemność rozmawiać z takim malcem... Tak, tak, mój koteczku, ten sam.

– Wisi jeszcze.

– Czy to możliwe?! – zawołał Scrooge uradowany – A więc biegnij i kup go.

– Pan sobie ze mnie żartuje... – wzruszył ramionami chłopiec.

– Ależ nie, wcale nie żartuję – zapewniał Scrooge – mówię najzupełniej serio. Idź, kup tego indyka i każ go przynieść tutaj, a ja wskażę, komu go należy doręczyć. Wróć tu ze służącym sklepowym, dostaniesz za to szylinga.

Chłopiec pomknął jak kula.

– Poślę tego indyka mojemu pomocnikowi – szeptał do siebie Scrooge, zacierając ręce i uśmiechając się wesoło. – Ręczę, że mu nawet na myśl nie przyjdzie, kto mu go przysyła. Indyk jest co najmniej dwa razy tak duży, jak Tiny Tim. Jestem pewien, że Bob nie będzie się gniewał za tę niespodziankę. To się nazywa figiel!

Napisał adres niezwykle pewną ręką, zszedł na dół otworzyć drzwi i czekał tam na indyka. Gdy stał przed drzwiami, uwagę jego zwróciła kołatka.

– Poczciwa! Będę cię kochał, dopóki życia mi starczy... – zawołał, głaszcząc ją pieszczotliwie.

– Dziwna rzecz, że nigdy przedtem nie zwróciłem na nią uwagi. Jak ona sympatycznie wygląda! Lecz oto indyk. Hej, daj go tutaj! Jak się masz, chłopcze! Życzę ci wesołych świąt.

Indyk był ogromny. Trudno było wprost uwierzyć, żeby tak wielki i ciężki ptak mógł się utrzymać na własnych nogach.

– Ależ przyjacielu – rzekł Scrooge – nie dodźwigasz go do Camden Town. Musisz wziąć dorożkę.

Mówiąc to odliczył należność za indyka i za dorożkę, śmiejąc się przy tym bez przerwy. Potem wrócił na górę, cały spocony i zadyszany, ale wciąż się jeszcze śmiał.

Niełatwo mu przyszło z ogoleniem, ponieważ ręce mu drżały. Wiadomo przecież, że czynność ta wymaga wielkiej uwagi. Ale gdyby nawet odciął sobie brzytwą kawałek nosa, to i wówczas nie straciłby dobrego humoru.

Ogoliwszy się, przywdział najlepsze ubranie i wyszedł przejść się nieco.

Ludzie już wyroili się z domów i snuli się tłumnie, weseli, ożywieni, jak wtedy, kiedy odbywał wędrowkę po ulicach Londynu z duchem obecnych świąt.

Z założonymi w tył rękoma, Scrooge szedł powoli, patrzył na ludzi wesoło się uśmiechał. Miał tak sympatyczną minę, że kilku jegomościów, już w dobrych humorach, zaczęło go słowami:

– Dzień dobry, sir! Życzymy wesołych świąt!

Scrooge często potem zapewniał, że nigdy w życiu nie słyszał słów, które by równie przyjemnie brzmiały.

Przeszedłszy kilka kroków, spostrzegł idącego naprzeciw poważnego dżentelmena, który odwiedził go wczoraj w kantorze, pytając: „Firma Scrooge i Marley, jeżeli się nie mylę?” Scrooge doznał uczucia wstydu na myśl, że człowiek ten obrzuci go pogardliwym wzrokiem, lecz jednocześnie zrozumiał, jak powinien postąpić. Zbliżył się do niego, chwycił za obie ręce i ściskając je, rzekł;

– Witam pana. Jakże zdrowie? Spodziewam się, że wczorajsza kwesta udała się? Nieprawdaż? Pański sposób myślenia jest bardzo szlachetny, zaszczyt panu przynosi. Życzę panu wesołych świąt.

– Pan Scrooge?

– Tak, to moje nazwisko. Niech mi będzie wolno usprawiedliwić się przed panem... Otóż, czy nie mógłbym prosić pana... Tu Scrooge coś mu szepnął do ucha.

– Czyja dobrze usłyszałem? – zawołał tamten oszołomiony. – Drogi panie Scrooge, czy pan to mówi serio?

– Najzupełniej serio! – zapewniał Scrooge. – Ani pensa mniej. Przecież płacę stary dług. Więc kiedy mogę się pana spodziewać?

– Ale, drogi panie – odpowiedział jegomość, serdecznie ściskając dłoń Scrooge’a – nie wiem doprawdy, jak mam panu dziękować za tak hojną ofia...

– Ani słowa o tym – przerwał Scrooge – bardzo pana proszę, niech to zostanie między nami. Zechce mnie pan tylko odwiedzić? Czy mogę na to liczyć?

– Ależ z całą pewnością! – zawołał skwapliwie poważny jegomość. Nie ulegało wątpliwości, że ma szczery i niezłomny zamiar jak najrychlej złożyć

wizytę Scrooge'owi.

– Dziękuję panu – rzekł Scrooge – nieskończenie jestem panu wdzięczny!
Do miłego zobaczenia!

Wszedł do kościoła, potem przeszedł kilka ulic, uważnie obserwując spotykanych ludzi. Głaskał pieszczotliwie główki mijających go dzieci, wypytywał i hojnie obdarzał żebraków, zaglądał do suterren i w okna mieszkań parterowych. Wszystko mu się nadzwyczajnie podobało. Nigdy nie przypuszczał, żeby zwykła przechadzka mogła dostarczyć takiej przyjemności.

Po południu skierował się ku dzielnicy, w której mieszkał jego siostrzeniec. Kilkanaście razy przeszedł przed domem, zanim odważył się wejść do sieni i zapukać do drzwi.

– Czy pan w domu, moje dziecko? – zapytał służącej, młodej i ładnej dziewczyny.

– W domu, panie.

– Gdzie jest?

– W jadalni, razem z panią. Niech pan pozwoli, zaprowadzę.

– Dziękuję ci, piękne dziecko, sam pójdę. Pan twój zna mnie dobrze. To rzekłszy, Scrooge zbliżył się do jadalni, ostrożnie nacisnął klamkę i wsunął głowę przez uchylone drzwi.

W tej chwili właśnie odbywało się sprawdzanie świątecznie zastawionego stołu. Małżonkowie dokonywali tej czynności skrupulatnie, jak przystoi na młodą parę, która jest zwykle na tym punkcie bardzo wrażliwa i pragnęłaby pod tym względem stać ponad wszelką krytyką.

– Fred! – szepnął Scrooge.

Żona siostrzeńca nerwowo drgnęła, jakby usłyszała coś bardzo przykrego. Gdyby Scrooge zauważył, że siedziała w wygodnym fotelu, ze stołeczkiem pod nogami, przypatrując się z całą uwagą nakryciu, nigdy nie ośmieliłby się jej zaniepokoić w ten sposób.

– Kto tam? – krzyknął Fred. – Któż, u Boga?

– To ja, twój wuj, Scrooge. Przychodzę zjeść z wami obiad. Czy mogę wejść?

Czy może wejść? Także pytanie! Scrooge powinien był podziękować Bogu, że siostrzeniec z radości nie urwał mu ręki przy powitaniu...

Po upływie dziesięciu minut Scrooge czuł się tutaj jak we własnym domu. Niepodobna sobie wyobrazić coś serdeczniejszego nad to, jak go tu przyjęto. Żona Freda nie dała się wyprzedzić mężowi, jak również Topper i mała, pulchna siostra żony Freda, i wszyscy goście, którzy się kolejno zjawiali. Całe towarzystwo było zachwycające, uroczo się bawili, miła harmonia panowała w tym gronie... Prawdziwe szczęście!

Nazajutrz Scrooge udał się do kantoru.

Wstał wcześniej niż zwykle, gdyż postanowił złapać Boba na spóźnieniu. Bardzo tego pragnął i udało mu się. Miał tę przyjemność. Zegar wybił dziewiątą, a Boba jeszcze nie było. Kwadrans po dziewiątej – jeszcze go nie

ma. Spóźnił się o całe osiemnaście i pół minuty. Scrooge otworzył szeroko drzwi swego pokoju, aby widzieć, jak Cratchit będzie się przemykał do swej wyziębionej komórki.

Bob już w sieni zdjął kapelusz i szalik, a otworzywszy drzwi – natychmiast usiadł na swoim stołku i jego pióro zaczęło tak szybko posuwać się po papierze, jakby chciało dogonić stracony czas.

– A to co? – burknął Scrooge, starając się swemu głosowi nadać ton jak najbardziej surowy. – Jak można tak się opóźniać? Co pan sobie myśli?

– Wiem, zawiniłem – szepnął pokornie Cratchit – bardzo pana przepraszam za spóźnienie...

– Spóźnienie! – burknął znów Scrooge. – Ja sędzę, że to porządne spóźnienie. Proszę tu do mnie!

– Przecież zdarzyło się to tylko raz w ciągu całego roku... – usprawiedliwiał się Cratchit, wychodząc ze swej nory. – Nie powtórzy się to więcej, zapewniam pana. Wczoraj zabawiłem się trochę.

– Wszystko to bardzo pięknie – przerwał mu Scrooge – muszę jednak oświadczyć panu, że wcale nie myślę dłużej znosić czegoś podobnego. Dlatego – ciągnął dalej, zeskakując szybko z krzesła i dając Bobowi takiego kuksańca, aż ten zatoczył się do swojej komórki – dlatego... podwyższam panu pensję!

Bob, przerażony, rzucił się do linii leżącej na kantorku. Miał zamiar schwycić Scrooge'a za kołnierz, zawołać ludzi i przy ich pomocy wpakować pryncypała w kaftan bezpieczeństwa.

Nie doszło do tego.

– Życzę ci wesołych świąt, Robercie! – odezwał się Scrooge tak poważnie i tak serdecznie, że nie można było wątpić w szczerść jego słów, tym bardziej, że jednocześnie poklepał Boba po ramieniu z poufałością dobrego przyjaciela. – Z całego serca pragnę, aby tegoroczne święta wynagrodziły ci wszystkie święta, któreś tu ze mną spędził. Tak jest, Robercie, podwyższam ci pensję i dołożę wszelkich starań, aby postawić na nogi twoją rodzinę, padającą z przepracowania. Rozpatrzmy tę sprawę dziś po południu, przy szklance gorącego grogu. A teraz, Robercie, rozpal ogień na kominku i nie żałuj węgla!

Scrooge zrobił więcej niż obiecał. Co zaś do maleńkiego Tima, który wcale nie umarł – stał się dlań drugim ojcem.

Zmienił się zupełnie. Odtąd był dobrym przyjacielem i chlebodawcą, słowem – takim człowiekiem jakimi bywali ludzie za dobrych, starych czasów, w dobrym, starym kraju. Niektórzy szydzili z tej zmiany, lecz on nie zwracał na to uwagi. Miał tyle rozumu, że wiedział, iż to, co na świecie dobre zawsze jest przedmiotem szyderstwa ze strony niektórych ludzi. Ich należy uważać za ślepych. Scrooge sądził też, że lepiej, aby kalectwo ujawniało się w postaci zmarszczek dokoła oczu, wywołanych ciągłym uśmiechaniem się do bliźnich, niż w innej mniej przyjemnej postaci. Jego dusza pełna była pogody i radości – i to mu wystarczało do szczęścia. Z duchami więcej spotkań nie miał, natomiast pozawiażywał przyjaźnie z ludźmi i podtrzymywał je, a całe jego

życie toczyło się wśród dobrych uczynków. Jakoż mówiono później, że nikt tak przykładowie nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia, jak on.

Życzę Wam z całej duszy, żeby tak o Was mówiono, drodzy Czytelnicy, a także o mnie i o wszystkich, a wtedy – jak pięknie powiedział maleńki Tim – Bóg będzie błogosławił wszystkim i każdemu z osobna.

DTP by SHADE

[1] repetier - ręczny zegarek z mechanizmem wydzwaniającym godzinę.